RODZINA i DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 8

ROK III PAŹDZIERNIK 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 8 PAŹDZIERNIK 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Elżbieta Bąkowska.

ROLA SZTUKI W WYCHOWANIU.

„Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego i już nie pytaj skąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość, i religię".

Józef Kremer.

Dzieło wychowania mobilizuje wszelakie środki do kształtowania pełni osobowości wychowanka. Wykorzystuje wszelkie możliwości oddziaływania na rozwój impulsu i kształcenie woli jego. A tylko dziedzina kształcenia uczuć wychowanka leży niemal odłogiem. Bo jakież zajmuje miejsce w programach wychowania najpotężniejszy środek wychowawczy: sztuka?

Mówi się, że młodzież wychowuje współczesna jej rzeczywistość w całokształcie wydarzeń i prądów. Jakaż współczesność oddziaływała na młodzież późniejszych żołnierzy Piłsudskiego i dała im hart ducha i ciała do dzieła wywalczenia Niepodległości? Wzrastali oni w ponurej rzeczywistości przemocy zaborców, w poczuciu upokorzeń i poniżenia. Jakiż zbawienny promień przenikał mroki ówczesnej rzeczywistości i walczył z nią o wpływy wychowawcze na młode dusze?

Odpowiedź jest jedna: sztuka polska. „Nigdy tak głęboko jak w okresie niewoli nie zespoliło się życie polskie ze sztuką. Była ona, mówiąc językiem dzisiejszej psychologii, rekompensatą braków rzeczywistości. Wśród klęsk przynosiła wyzwolenie, zwątpienia uciszała wiarą w wartość życia, wbrew nieprzyjaznemu światu darzyła przyjaźnią. Mimo wszelkiej przemocy wroga była polem swobody: wola działania, pragnienie służby narodowej, potrzeba odpowiedzialności znajdowały w niej często jedynie zaspokojenie. W niej także, w sztuce, żyła niedostępna w życiu sprawiedliwość społeczna i rozkwitała pełnia ludzkiej osobowości. W kontemplacji i zachwycie, w czującym wiedzeniu, w miłości wszelkiego życia pogłębiała dusze jednostek, gruntowała ideał wspólnoty ludzkiej, pozwalała w skupieniu wydźwignąć się ponad rutynę lub krzywdę codzienności. I tak stawała się sztuka — nie pieśń ludowa, jak marzył niegdyś poeta — ale sztuka, w całej pełni różnorodności, arką przymierza między daw-

nością i czasami, co miały nadejść, między marzeniem i rzeczywistością, między życiem prywatnym i służbą zbiorową [1])".

Gdy Maria z Billewiczów Piłsudska kształtowała bohaterską duszę Syna, rzucała w nią blaski poezji romantycznej. Po śmierci Matki pozostał z Synem Słowacki i szedł z Nim po przez niezliczone trudy aż do dnia Zwycięstwa. My mieliśmy to szczęście, oglądaliśmy Słowackiego za grobem zwycięstwo. „W imieniu Rządu Rzeczypospolitej polecam panom odnieść trumnę do krypty królewskiej, by królom był równy"...

Nowa rzeczywistość kształtuje psychikę dzisiejszej młodzieży. Wzrasta ona w powojennym wciąż jeszcze chaosie, w zgiełku narastających, nieoczekiwanych, często niezrozumiałych i sprzecznych ze sobą wydarzeń, w obliczu załamania się lub tylko zachwiania wielu niewzruszonych, zdawało się, wartości. Co damy jej na drogę życia, niosącego zapewne i błyskawice i gromy? Jak pogłębimy jej stosunek do rzeczywistości? Jak wręczymy talizman do przezwyciężenia teraźniejszości i uczynienia z niej szczebla do przyszłości lepszej i wartościowszej — bo taka musi być zawsze przyszłość wobec teraźniejszości. Wśród odpowiedzi na te pytania jedna wysuwa się na plan pierwszy — trzeba zbliżyć młodzież do prawdziwej sztuki.

Nie jest to droga ani krótka ani łatwa.

„Bo jeżeli rzeczywiście sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekuistość tu jest odziana w cielesność szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską człowieka, jak dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekuisty, nie dziw tedy, iż godzą też wszystkie inne sprzeczności istoty naszej, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa i całą istotę człowieczą budzą pełnym akordem" [2]).

To właśnie jest celem wychowania: pełną istotę człowieczą budzić w dziecku pełnym akordem. Powołajmy więc sztuki piękne do pełnienia ich posłannictwa w dziele wychowania. W każdym dziecku tli się iskra twórczości, bo w tym jest podobieństwo duszy ludzkiej do Stwórcy. Iskrę tę warunki życia i wpływy atmosfery wychowawczej rozniecić mogą w płomień, czasem w słup ognisty, lecz też i stłumić mogą i zgasić niemal zupełnie. Uprzytomnijmy sobie, że „człowiek bez sztuki żyć nie może, gdyż ona jest bezpośrednim, koniecznym tego życia przejawem, jego nieuniknionym skutkiem, jego rozszerzeniem, wzmożeniem, podnietą" (St. Witkiewicz). Należy pamiętać o tym, przemyśleć i znaleźć środki, by w zakresie wychowania rodzinnego nie zabrakło momentów oddziaływania przez sztuki piękne. Spróbujmy opromieniać sztuką wszelkie uroczystości rodzinne, spróbujmy urządzać imprezy artystyczne w obrębie domu ro-

[1]) B. Suchodolski. Kultura i osobowość.

[2]) Józef Kremer. Listy z Krakowa.

dzicielskiego przez młodzież z rodzicami wspólnie organizowane. Nie chodzi tu o kształcenie artystów, lecz przede wszystkim o kształcenie przyszłych odbiorców sztuki, o stopniowe przygotowanie dusz do wznoszenia się na te wyżyny, na których słuchać będą „mowy duchów"...

Nie każdy jednak dom rodzicielski może indywidualnie oddziaływać przez sztuki piękne na kształtowanie dusz. Akcję tę powinny objąć zrzeszenia rodzicielskie i uczynić z niej ważną pozycję w planach pracy i współpracy ze szkołą.

W programach nauczania obecnej szkoły średniej sztuki piękne zajmują miejsce co najwyżej uboczne. Osobnych lekcyj historii sztuki nie ma. Program zaleca omawianie spraw sztuki w ramach niektórych przedmiotów, jak: język polski, historia, łacina. Zależy więc ta sprawa w bardzo dużej mierze od indywidualnych zamiłowań nauczycieli danych przedmiotów w poszczególnych szkołach. Nauka rysunków mieści się na planie przedmiotów nadobowiązkowych, a właśnie na nauczycielu rysunków spoczywać powinien główny obowiązek nawiązania kontaktu psychicznego ucznia z plastyką. Muzyka i śpiew należą również do przedmiotów nadobowiązkowych, co nie sprzyja wcale oddziaływaniu ich nawet na ten nieliczny odłam młodzieży, która zapisuje się na lekcje muzyki czy śpiewu. I chociaż program nakazuje raz w miesiącu godzinę audycji muzycznej dla całej młodzieży, to sprawa ta w realizacji (zwłaszcza w szkołach prowincjonalnych) nie zawsze daje pożądane wyniki. A przecież żadna ze sztuk pięknych nie posiada tak wielkiej mocy w oddziaływaniu na psychikę jak muzyka, która wyzwala duszę i uciszać może, a zarazem i wzmagać jej wieczystą tęsknotę do nieskończoności.

Sprawa teatru dla młodzieży i zagadnienie roli filmu w jej życiu domagają się specjalnych omówień, które nie zmieściłyby się w ramach niniejszego artykułu. Bo „każdy z odłamów sztuki ma pewną szczególną sferę oddziaływania na duszę, lecz sfery te nie dają się ściśle odgraniczyć i każda ze sztuk wkracza na pole oddziaływania innej, wszystkie zaś razem obejmują całość objawów psychicznych i dostarczają wrażeń, wzruszeń, podniet odpowiadających całkowitej możności tego, co człowiek jest w stanie przeżyć" [3]).

Sprawa kształcenia uczuć młodzieży przez sztukę odegrać powinna niezmiernie ważną rolę, bo obudzić to, czego brak jest większości obecnej młodzieży, a mianowicie: zdolność i potrzebę kontemplacji. Wymaga sprawa ta poważnego przemyślenia i przygotowania. Na drodze tej popełnić można ciężkie błędy, a profanacja sztuki mścić się może w sposób dotkliwy. Samo jednak poważne podejście do sprawy z poczuciem ważności zagadnienia od błędów takich uchronić może.

Nie wątpię, że akcja zbliżenia młodzieży do prawdziwej sztuki stanowi już treść pracy kół rodzicielskich w poszczególnych szkołach. Jeśliby

---

[3]) St. Witkiewicz. Jan Matejko.

na łamach „Rodziny i Dziecka" ukazały się sprawozdania z realizacji etapów tego zagadnienia, posłużyłyby one do pobudzenia w tym kierunku inicjatywy i pracy większej ilości placówek. A z wąskich ścieżek wejść można na szeroką drogę, po której pójdzie młodzież nasza w życie! Oby spotkała na niej i sztukę prawdziwą, tę która z nieskończoności zdąża i w nieskończoność płynie.

Wacław Sieroszewski w obronie spraw sztuki w Senacie takie powiedział słowa: „Dzieje nasze sprawiły, że wytworzył się w Polsce typ uczuciowca. Jesteśmy uczuciowcami i nie potrzebujemy tego się wstydzić... Trzeba tylko tej naszej właściwości nadać odpowiedni charakter i kierunek, a może to uczynić sztuka, — ta sama sztuka, która w okresie niewoli wzmacniała naszych bojowników o wolność... Nie trzeba więc zwalczać uczuciowości, zwłaszcza zbiorowej. Należy tylko dać jej cel, którym musi być potęga Polski. I tu sztuka, która dawniej była tęsknotą narodu do wolności, musi być teraz tęsknotą do potęgi, w walce, o którą w pierwszym rzędzie obok żołnierza musi stanąć artysta".

A my dodać musimy: i wychowawca.

Juliusz Adamski.

USPOŁECZNIANIE MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Problem uspołeczniania młodzieży szkolnej jest w dziedzinie wychowania jak dotąd zagadnieniem dość nowym, przeżywanym, interesującym zarówno szkołę, dom rodzicielski jak też prasę fachową i codzienną.

Ma swoich entuzjastów i zaciętych wrogów. Stanowiska tak diametralnie przeciwne mają swoje uzasadnienie bądź w subiektywnych nastawieniach na tę sprawę, bądź w nieporozumieniach.

Dziedzina ta weszła w tryby współczesnych zagadnień dzisiejszej szkoły urzędownie na mocy ustawy szkolnej z r. 1932.

Z haseł rzucanych kolejno wyrosło działanie i jakby siłą bezwładności zaczęły się komórki życia szkolnego stopniowo wypełniać projektami wychowawczymi, planami, próbami uspołecznienia szkoły. Powstały samorządy klasowe, gminy szkolne, organizacje o rozmaitym profilu. Było niemal że punktem honoru dyrektora, ambicji wychowawców, aby tych komórek uspołeczniających było w zakładzie jak najwięcej. Pęd tworzenia zrzeszeń autonomii szkolnej rósł, potężniał, ogarniał najdalsze kręgi szkolne, zaczął zdradzać objawy niemal psychozy. Prasa stawiała swoje postulaty, władze szkolne domagały się planów wychowawczych, protokółów, sprawozdań z zabiegów wychowawczych, stosowanych w zakładzie, kierownicy przeszczepiali z terenu obcego zakładu na swój własny wszelkie nowości uspołeczniania, szkoła stawała się twórcza w coraz to inne pomysły.

Wreszcie doszło do pewnego nasycenia, przeładowania i... przesytu. Organizm szkolny poczuł, że grozi mu rozsadzenie całej pracy obowiązkowej tą pracą społeczną, że grozi katastrofa rozbicia nauki. Nastąpił kryzys w formie ocknienia, zahamowania tego ruchu. „Odtrąbiono" na odwrót, zaczęto organizacje szkolne scalać, redukować mało żywotne, niwelować stopniowo cały aparat społeczny, a w obecnej dobie zaczyna się ta społeczna praca staczać po pochyłej, jakby jakieś zjawisko nieprzewidziane przez twórców w tej formie, jakiś twór poroniony, niezdolny do dalszego życia...

Pytamy, co dalej?

Rozważmy, czy nie uniósł nas wychowawców i entuzjastów wśród kół rodzicielskich urok nowości za daleko w naszych poczynaniach?

Czy nie poszliśmy za głosem haseł modnych wkładając w te zabiegi samą formę bez właściwej treści? Czy nasz entuzjam szedł w parze z rozsądkiem. Czy były cele należycie skrystalizowane, jasno przemyślane możliwości tych działań i ich skutki?...

Bilans pięcioletnich wysiłków na tym terenie robi wrażenie, żeśmy nie budując od podstaw, pokusili się w rozmachu twórczym o wielopiętrówki, żeśmy wznieśli w pośpiechu z lichego budulca jakąś wieżę Babel pełną nieporozumień, aż wreszcie wszystko to zachwiało się za jednym podmuchem surowej krytyki. I oto my, zdezorientowani budowniczowie tych dziwacznych drapaczy chmur, obserwujemy nietrwałość naszych prac, stwierdzamy, że te twory nie wytrzymały próby ognia i wiatru, i rozsypują się w naszych oczach. Szukamy błędów w konstrukcji, założeniach, szukamy nowych planów, dróg wyjścia z tego labiryntu.

I jak ogólny był niegdyś zachwyt i pęd do uspołeczniania, tak ogólne jest dzisiaj rozczarowanie i przekonanie, żeśmy kroczyli po błędnej drodze, że należy całą pracę uspołeczniania podjąć na nowo, inaczej niż dotąd, że trzeba naszą w tej dziedzinie działalność poddać dokładnej r e w i z j i.

Podobne nastroje i poglądy na to zagadnienie wykazuje prasa. By nie szukać daleko sięgnijmy do czasopisma, stojącego blisko życia szkoły dzisiejszej. Jako pośredni dowód żywego zainteresowania tematem tytułowym posłuży fakt, że na łamach „Rodziny i Dziecka" pojawiło się sporo artykułów, oświetlających wielostronnie nasz problem.

Z niektórych wieje entuzjazm, wiara w możliwość osiągnięcia celu, konieczność uspołecznienia młodzieży w szkole, — z innych surowa krytyka, sceptycyzm, z innych kompromisowe stanowisko, pewna pobłażliwość w ocenie tej „zabawy" nieszkodliwej, a nawet pożytecznej. Niektórzy autorowie podkreślają nieosiągalność celu w organizacjach szkolnych i samorządach uczniowskich, wadliwość organizacji, konieczność przygotowania młodzieży do pracy społecznej przez obserwację faktów i zdarzeń pozaszkolnych, inni uskarżają się na obciążenie jednostek pracą, nierównomierne wobec zupełnej bierności mas. Inne potępiają wykwit niezdrowego

społecznictwa i blagę urodzonych pseudo-społeczników, wreszcie obojętność dla spraw społecznych ze strony młodzieży po opuszczeniu murów szkolnych.

Nie zamierzam bynajmniej polemizować z autorami artykułów, zwłaszcza że wielu wywodom mógłbym przyklasnąć, ale w żadnym razie, wobec odmiennych punktów widzenia, nie znalazłbym wspólnej platformy porozumienia. Materiał ten jednak będzie dla mnie punktem wyjścia dla moich własnych rozważań:

a) Znane jest w przyrodzie prawo mimikry, przystosowania się organizmów żywych do swego otoczenia. I wśród ludzkich organizmów działa dążność do asymilacji, a szczególnie w świecie dziecięcym ma instynkt naśladowania, upodobnienia się do otoczenia swoje niezaprzeczone znaczenie. Dziecko od zarania swego życia patrzy, słucha, obserwuje i naśladuje swoje najbliższe otoczenie począwszy od matki, ojca i rodzeństwa, przyswaja sobie formy myślenia i postępowania, nawyki i przywary automatycznie, uspołecznia się. W szkole naśladuje nauczycieli, kolegów, czerpie z lektury, zależnie od zainteresowań, wzory, którym pragnie dorównać. Podobnie działa film, teatr i czynniki pozaszkolne, środowiskowe, współczesne społeczeństwo ze swoimi zaletami i wadami. W ten sposób młodzież szkolna nasiąka automatyzmami społecznymi stopniowo, poglądami, które nie zawsze wychodzą jej na korzyść, a w każdym razie utrudniają szkole spełnienie zadań wychowawczych, idących przeważnie po odmiennej linii...

b) Rozważmy czynniki składające się na wychowanie społeczne, czyli ukształtowanie charakteru młodzieży szkolnej:

Ze stanowiska p r z y r o d n i c z e g o wpływ środowiskowy decyduje o jakości organizmu, który się w nim rozwija. Dziecko wzrasta i rozwija się w środowisku naturalnym, jakim jest dom rodzinny, i tu urabia swoją pierwszą powłokę z nawyków codziennych. Wchodzi potem w nowe środowisko szkolne, sztuczne, do którego musi się nagiąć, przystosować. Oba wpływy środowiskowe krzyżują się przy najlepszej woli ich twórców. Zbliżenie wzajemne na podstawie milczącej umowy odbywa się stopniowo, latami jako współpraca domu i szkoły. To zbliżenie w idealnych nawet warunkach nie oznacza jednak identyczności obu sfer wychowawczych, różnice poglądów zawsze pozostaną. W ciągu rozwoju dziecka tworzą się koło jego indywidualności kolejno inne środowiska, jak koleżeńskie, rozrywkowe, sportowe, ideowe w organizacjach młodzieżowych, i wreszcie inne, niebezpieczne, pozaszkolne, nie kontrolowane ani przez dom ani przez szkołę, społeczne, np. ulica. Każda z tych sfer o odmiennych celach, różnym zabarwieniu etycznym, różnej treści i sile sugestywnej, wciska się do życia duchowego dziecka, przetwarza je, chce je opanować. Zdarza się dość często, że dziecko stanie się igraszką pewnych czynników pozaszkolnych, usunie się zupełnie spod wpływów dotąd dominujących i schodzi — jak zwykliśmy mówić — na bezdroża.

W różnych płaszczyznach urabia się młody człowiek, wbrew naszej woli, jako wypadkowa oddziaływań środowiskowych. W szczęśliwym wypadku młodzieniec zrównoważony, zbrojny w zasady moralne, hart ducha, zgodnie z pragnieniem domu i postulatami szkoły opuszcza mury szkolne jako uspołeczniona jednostka. Czy zawsze wobec rozbieżnych wpływów środowiskowych tak być musi? Czy może dom i szkoła brać pewną odpowiedzialność za wyniki swoich zabiegów wychowawczych?

c) Szkoła pragnie w założeniach ujawnić swoje cele wychowawcze, w wytycznych programowych stara się realizować te cele jak najdalej przy pomocy współpracy z rodzicami, i szuka w granicach możliwości swojej środków i dróg do celu.

Stąd to na apel władz szkolnych objawił się w ostatnich latach ten zrozumiały, masowy pęd do organizowania życia społecznego na terenie szkolnym jako środka wychowawczego dla wyrobienia młodej generacji do współżycia pożytecznego wśród społeczeństwa.

Doświadczenie kilku lat ostatnich wykazało, że próby wszelkie, podejmowane na terenie szkolnym w kierunku uspołecznienia, nie zdały egzaminu, nie dały pozytywnych rezultatów, oczekiwanych przez szkołę i dom, przyniosły obniżenie poziomu naukowego.

Czy można jednak potępiać za to szkołę, która działała w najlepszej wierze, że te metody wychowawcze wyjdą na korzyść młodzieży?

d) Na uwagę zasługuje fakt zmienionego oblicza dzisiejszej rzeczywistości. Polityczne względy wymagają dzisiaj czujności wszystkich obywateli państwa, podkreślają konieczność obrony kraju przez wszystkich obywateli bez względu na wiek, płeć, rasę, wyznanie, warstwę społeczną i poglądy osobiste. Racja stanu wymaga od wszystkich pogotowia wojennego „na wszelki wypadek", mimo pokojowej polityki, jaką prowadzi nasz Rząd. Stąd to pochodzi owo popieranie wychowania fizycznego, sportu, P. W. itp., aby każdy obywatel był żołnierzem, a każdy żołnierz obywatelem uspołecznionym.

Zajęcia te łącznie wymagają wiele czasu, treningu, wprawy, zawodów, próby sił i wytrzymałości, oswojenia się z terenem, warunkami atmosferycznymi życia obozowego, wyrobienia cnót żołnierskich, hartu ciała i ducha. Ale w sumie zajęcia te odrywają młodzież od normalnej pracy naukowej i społecznej. Wobec jednak haseł głoszonych, podyktowanych względami na całość i potęgę naszego państwa, wszelkie inne względy stają się małoznaczne, drugorzędne. Ma to swoje następstwa: zarówno cicha, systematyczna praca naukowa, jak też praca społeczna, pochłaniająca wiele czasu, nie interesują młodzieży i nie mogą, choćby tylko z tego względu, liczyć na powodzenie. Mimo wszystko jednak wychowanie społeczne ma swoje racje, skoro każdy żołnierz ma być obywatelem, a więc wyposażonym w cnoty obywatelsko-żołnierskie, ogólnie znane.

Program podkreśla znaczenie kultury polskiej, uwzględnia przy historii ruchy polityczne, problemy gospodarcze, naukę obywatelską, zagad-

nienia współczesne, regionalizm itp., upraktycznia naukę przyrody, fizyki i chemii, rozbudowuje gimnastykę, sport, P. W., dba o hartowanie ciała przez wycieczki, obozy letnie, wprowadza opiekę lekarską, dożywianie, badania psychotechniczne. Wprowadza samowychowanie, usamodzielnianie się młodzieży przez samorządy szkolne, organizacje młodzieżowe, wychodząc z zasady obowiązującej w ustroju konstytucyjnym, że: „bez samorządu nie ma obywateli, lecz są tylko poddani, niewolnicy".

Wychowanie przyjęte jest jako przysposobienie społeczne, jako dążność do wychowania typów uspołecznionych, tj. typów „mających poczucie swej wartości, zdolnych do samodzielności i inicjatywy, wdrożonych do współżycia z innymi, umiejących, zależnie od warunków, rozkazywać lub słuchać".

Zdaniem Bystronia nowa szkoła wykazuje dwie charakterystyczne cechy:

1) Jest w stadium tworzenia, jest w zależności od kształtowania się stosunków społecznych. Jest zatem plastyczna, żywa, zmienna, gdy dawna szkoła była ustalona, posągowa, muzealna wowobec stale płynnego życia.
2) Posiada swoje społeczne oblicze, swoją specyficzną ideologię, staje się narzędziem polityki społecznej do budowy, względnie przebudowy społecznej.

Jeśli założenia autora są słuszne — a można je za takie przyjąć — w takim razie musimy przyjąć dalsze konsekwencje, tj. czynnik społeczny urabiania młodzieży szkolnej do przyszłego życia zbiorowego jako konieczność istniejącą i działającą bez względu na nasze subiektywne sądy i upodobania. d. c. n.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Atak na organizacje rodzicielskie.

Odpowiedź na artykuł dyskusyjny, wydrukowany w nr. 17—18 „Przeglądu Pedagogicznego" z dnia 1. IX.

Pan dr Rudolf Chirowski, profesor gimnazjum państwowego w Przemyślu, umieścił na łamach „Przeglądu Pedagogicznego" długi na 5 stronach artykuł pod tytułem „Trochę prawdy o współpracy domu ze szkołą".

Artykuł p. Chirowskiego, chociaż jest wolny od wycieczek osobistych i nie wskazuje na żadne fakty ścisłe, jednak ujęty jest w formę tak napastliwą i obraźliwą, że wywołał wzburzenie w organizacjach rodzicielskich i konsternację wśród pedagogów.

Artykuł p. Chirowskiego przeczytałem bardzo starannie i nie mogłem zrozumieć jego intencji.

Wiedziałem dobrze, że w sferach dyrektorów i dyrektorek gimnazjów — zdarza się tendencja nieżyczliwa dla organizacji rodzicielskich, że zarządy szkół boją się, by współpraca domu ze szkołą nie przeszła w walkę o prawa domu.

Wiedziałem dobrze, że tu i tam rodzice interweniowali u dyrektorów, a nawet

grozili interwencją u kuratorów — w sprawie niedopuszczalnych nietaktów pojedyńczych osób z grona profesorskiego.

O tym wszystkim wiedziałem, ale ani na chwilę nie przypuszczałem, by różne nietakty i niedociągnięcia z obydwóch stron mogły posłużyć nauczycielowi do zgeneralizowania zarzutów i rzucania na głowy rodziców i ich zrzeszeń całego arsenału kalumnii i to w formie nie do przyjęcia.

W obronie p. Chirowskiego stanął już dr Juliusz Nowak — Dłużewski, który przyznaje, że artykuł p. Chirowskiego „nie jest sprawiedliwy w całości swej formy. Ale przecież wystarczy wczuć się dokładnie w całość treści, aby zrozumieć, że pisany jest krwią serdeczną człowieka dojętego do żywa, zmęczonego nader ciężkimi od lat szeregu warunkami pracy nauczycielskiej moralnymi i materialnymi".

Mogę p. Chirowskiemu serdecznie współczuć, że w atmosferze przemyskiej doszedł do takiego stanu rozgoryczenia, do niemal „krzyku rozpaczy", ale skoro Jego artykuł tyle krwi napsuł w obozach „Domu i Szkoły" i stał się własnością publiczną (artykuł dyskusyjny), muszę nim zająć się na łamach „Rodziny i Dziecka", która jest cichą trybuną patronatów szkolnych.

Pan Chirowski nie wczuł się, że „Instytucja współpracy domu ze szkołą" nie jest wymysłem szerokich mas rodzicielskich, lecz wypadkową sił, wynikłą na tle stosunków nowoczesnych w skali nieomal międzynarodowej.

Rodzice wcale nie palą się do akcji patronackiej.

Przerzucenie wszystkich, absolutnie wszystkich ciężarów na szkołę harmonizuje z biernotą bardzo wielu rodziców. Do pracy patronackiej trzeba ludzi wciągać i niemal otwierać im oczy na wiele dzisiejszych zjawisk społecznych. Ma słuszność p. Chirowski, że patronaty to nowinkarska praca. Tak jest, w tej pracy wszystko jest nowe, dopiero się tworzy — buduje.

Prace organizacyjne należą do niewdzięcznych i bardzo ciężkich! Polska nie jest krajem o wysokim poziomie organizacyjnym, gdyż wybujały nasz indywidualizm nie bardzo się nadaje do prac, które wymagają jednocześnie subordynacji i koordynacji, a ponadto często wyrzeczenia się błyskotliwości.

Kosztem wielkich nakładów i kapitałów oraz wysiłków nasze życie gospodarcze zaczyna się zaokrąglać, ale niezmiernie trudno jest zorganizować masy rodzicielskie, których poziom jest tak zróżniczkowany, a skład osobowy zmienia się z roku na rok, w najlepszym zaś wypadku trwa 4 — 6 lat. I dlatego przy organizowaniu mas rodzicielskich, przy wysiłku szukania wspólnego języka trzeba mieć znacznie więcej wyrozumiałości i cierpliwości, niż to wykazał p. dr Chirowski.

A tymczasem wszędzie tam, gdzie powstają patronaty i rozpoczynają swą pracę, budzi się solidaryzm społeczny i ostre kanty różnic społecznych zaczynają się wygładzać. Przedstawiciele inteligencji współpracują obok przedstawicieli świata pracy i tworzą wspólne ognisko i każdy z siebie daje to, na co go stać.

Tego wszystkiego p. dr Chirowski nie odczuwa i nie zauważa. Natomiast organizacjom patronackim w czambuł przypisuje wady, które charakteryzują ludzi pojedyńczych, a nie polską zbiorowość.

Takie wady, jak prowokacja, nietakt, powoływanie się na ministrów w celu szantażu, groźby, anonimy, komunistyczne niszczenie ładu — to są wszystko wady bardzo indywidualne i jednostkowe i właśnie zbiorowość rodzicielska w żadnym wypadku takimi wadami się nie odznacza.

Pan dr Chirowski zarzuca, że rodzice w sprawach wychowawczych są laikami.

Być może, ale w dzisiejszym układzie społecznym, czy rodzice są laikami,

czy nie, to jednak muszą lepiej lub gorzej spełniać swą powinność wychowawczą. Cóż zrobić, dotychczasowe ustawodawstwo społeczne nie zna żadnych ograniczeń dla ludzi normalnych. Wszyscy rodzice mogą i mają prawo wychowywać swe dzieci tak jak umieją. Tytuł rodziców jest jeden z najłatwiejszych do zdobycia, często nawet wbrew woli obdarowanego.

Autor podkreśla rozgoryczenie rodziców na składki patronackie. Istotnie, na ogół rodzice bardzo niechętnie płacą składki i szukają sposobów, aby się od nich uwolnić. Ale to jest zupełnie naturalne i całkowicie zgodne z tradycją polską: myśmy nigdy nie lubili i nie lubimy płacić żadnych ciężarów, tylko wszystko z wolnej a nie przymuszonej woli. Już taka to jest natura Polaka!

Ale cóż robić! Każda instytucja żyjąca w warunkach współczesnych i normalnych, mając swe zobowiązania i plan pracy, musi mieć środki na ich pokrycie. Tymi środkami są składki. Gdyby patronat w Przemyślu, gdzie pracuje p. Chirowski, po zapoznaniu się z Jego przedziwnym światopoglądem na patronaty, przekreślił składki i oświadczył p. dyrektorowi gimnazjum, że nie będzie ponosić wobec gimnazjum żadnych świadczeń poza taksą administracyjną, to p. dyrektor siłą rzeczy nie znalazłby środków na pokrycie szeregu wydatków niezbędnych dla szkoły.

A rezultat? Rezultat skupiłby się na naszych dzieciach i na wykładowcach.

A jednak rodzicom radziłbym zapoznać się starannie z artykułem dr. Chirowskiego. Kto wie, może ci rodzice, którzy stoją zdala od pracy patronatów, uświadomiliby sobie, że zasługują na zarzuty, jakie w swoim artykule p. Chirowski postawił patronatom.

F. Jabłoński.

Teoria a rzeczywistość.

Leży przede mną otwarty na pierwszej stronie powakacyjny numer „Rodziny i Dziecka", a obok poprzednio już przeczytane Przegląd Pedagogiczny i Dom i Szkoła, wydawnictwo Patronatów Gimnazjum im. A. Mickiewicza. Tu — słowo wstępne redakcji z cytatą z przemówienia p. Ministra W.R. i O.P., tam — artykuły pp Chirowskiego i Kubińskiego, różniące się co prawda formą, lecz jakże — niestety — podobne w treści.

Porównując słowa, jakimi przemówili na rozpoczęcie roku szkolnego rodzice i nauczyciele, nie mogę się oprzeć uczuciu głębokiego przygnębienia, nie mogę się pozbyć wrażenia, że nasza serdecznie wyciągnięta dłoń zawisła w próżni.

Być może jest to przypadek, że artykuł p. Chirowskiego znalazł się w pierwszym powakacyjnym numerze Przeglądu, jednak smutne to sprawia wrażenie, że u progu nowego roku szkolnego, gdy wraz z naszymi dziećmi stajemy do pracy pełni zapału i najlepszych intencji, tylko takie powitalne słowa znalazł dla rodziców organ nauczycielski. Artykuł p. Kubińskiego tym bardziej dziwne sprawia wrażenie, że został umieszczony w wydawnictwie organizacji rodzicielskiej, podobno jednej z najlepszych w kraju. Jeśli tam, gdzie rodzice są tak dzielni i wyrobieni, nauczyciel takie odnosi wrażenie ze współpracy z nimi (nie sądzę przecież, aby artykuł swój wywiódł ze sporadycznych w swej pracy wypadków) — to jakże sprawa ta wygląda w innych szkołach, gdzie działalność rodziców nie jest ani tak ofiarna, ani tak uznawana przez szkołę!

Wiemy już z wymienionych artykułów, jak realizacja współpracy domu i szkoły oceniana jest przez nauczycielstwo. Sądzę jednak, że obecnie i rodzice odczują potrzebę przemyślenia tych rzeczy na nowo, bo jeśli po tylu latach współpracy i nieustannego pogłębiania zrozumienia jej potrzeby, ukazują się takie wypowiedzi nauczycielstwa, to każdy z nas musi zadać sobie pytanie:

czy ta „moja" szkoła jest naprawdę szczęśliwą oazą wśród ogólnej jałowości i pustki, czy też może i to nauczycielstwo, które znam, tak na pozór serdeczne i chętnie widzące rodziców na terenie szkoły, myśli po cichu o nas to, co głośno powiedzieli pp. Chirowski i Kubiński. Otóż i wschodzi pierwsze ziarno przez nich zasiane: zwątpnienie i nieufność w stosunku wzajemnym rodziców i nauczycieli.

Skoro jednakże sprawa została (nie przez nas!) tak ostro postawiona — lepiej będzie, jeśli i rodzice szczerze się co do niej wypowiedzą. Tym bardziej że zagadnienie to nie tylko także absorbuje ogół rodziców, lecz również często bywa przedmiotem ich głębokiej troski.

Bo bliższe poznanie szkoły i nauczycielstwa nie zawsze daje radość, spokój i otuchę. Rodzicom byłoby bardzo łatwo rozstać się ze szkołą, gdyby również mieli na względzie tylko swój spokój i chęć uniknięcia przykrości i kłopotów. Nie mają jednak prawa tego uczynić, skoro są naprawdę odpowiedzialni za całą przyszłość dziecka. Komuż bo oni, wyszedłszy ze szkoły, powierzą je pod całkowitą i niekontrolowaną opiekę? „Ten zakłopotany i odrzucany jak piłka od jednej do drugiej teorii wychowawca — jak powiada bardzo słusznie p. Kubiński — nie ma w programie przeznaczonej na swe prace pedagogiczne ż a d n e j c h w i l i, ż a d n e j g o d z i n y... Zabiera sobie i uczniom czas na co innego przeznaczony". Czy t o mają być warunki, które mogą ugruntować w rodzicach przekonanie, że mogą spokojnie pójść do domu i pozostawić szkole wyłączną straż nad duszami ich dzieci?

Zbyt pochopnie i łatwo rozstrzyga te sprawy wychowawca, który twierdzi, że pracując w tych warunkach osiągnie coś bez współudziału domu. Jeśli mu naprawdę leży na sercu dodatni wynik jego pracy, jeśli naprawdę stawia sobie wielki i szczytny cel, nie będzie on czekał, aż rodzice zaofiarują mu lojalną i kulturalną współpracę, lecz poszuka ich sam i zapragnie ich poznać bez względu na to, jakimi są, gdyż tylko zbliżenie do nich i poznanie ich wskaże mu skuteczne i celowe drogi do zawładnięcia duszą swego wychowanka. Lecz powiedzmy sobie otwarcie, że jeżeli mało jest rodziców, umiejących prawdziwie współpracować z wychowawcą, to i w szeregach nauczycielskich rzadkim zjawiskiem są ci, którzy należycie tę współpracę pojmują.

Przeważnie nauczyciel opiera z konieczności metody wychowawcze na dość powierzchownej znajomości natury ucznia i z konieczności zakreśla plan pracy na krótką metę tych lat, w ciągu których dziecko pod jego opieką pozostaje. A już po ukończeniu szkoły przestaje on wogóle wywierać jakikolwiek wpływ na dalszy rozwój swego wychowanka, a nawet przeważnie nie ma możności sprawdzenia, jaki efekt życiowy dały jego metody pedagogiczne. Jeżeli zły — nie on się już o to będzie kłopotał i, niestety, nie jego też będą o to obwiniali. To w r o d z i c ó w społeczeństwo wtedy rzuci kamieniem i zapyta, gdzie byli, gdy dziecko ich w szkole ulegało złym wpływom i o co się troszczyli w okresie kształtowania się i dojrzewania jego duszy, gdy natura jak gąbka chłonie wszelkie napotykane w życiu wpływy i przykłady. Czy wtedy będzie dla nas usprawiedliwieniem, żeśmy w tej najniebezpieczniejszej fazie rozwoju naszego dziecka zaufali bez reszty szkole i temu wychowawcy, który sam powiada, że na swoją pracę wychowawczą nie ma wogóle miejsca w programie szkolnym?

I oto dochodzimy do sedna zagadnienia, do właściwego określenia roli domu i szkoły w życiu dziecka.

Nie leży bynajmniej w interesie rodziców podkopywanie autorytetu i powagi wpływów szkolnych, jednak gdy stale słyszymy, że szkoła ma mieć najwyższy i decydujący wpływ na linię wychowawczą młodzieży, my zaś — rodzice —

możemy tylko „popierać ją bez reszty z ufnością podstawową w racjonalność jej poczynań" — zaczynamy spoglądać po sobie ze zdumieniem: cóż za dziwaczne odwrócenie rzeczywistości?

Od lat całych uprawiamy bolesne „nowinkarstwo" — że użyję wyrażenia p. Chirowskiego — wyolbrzymiając i przeceniając możliwości wychowawcze szkoły. Może w przyszłości, gdy nauczycielstwo będzie miało inne warunki pracy, gdy będzie tyle szkół, aby w klasie zamiast 45 było 20 uczniów, a przede wszystkim gdy nareszcie szkoła wyjdzie z okresu nieustannych przekształceń i eksperymentów — może wtedy nastąpi istotna realizacja zadań wychowawczych szkoły i dodatni jej wpływ więcej niż dziś zaważy na kształtowaniu osobowości ucznia. A wtedy i rodzice może prędzej będą mogli sobie pozwolić na zmniejszenie czujności w stosunku do niej. Tymczasem jednak daleko do tego i popełniamy wielki błąd, akcentując stale przewagę wartości wychowawczych szkoły nad domem, gdyż wmawiamy w społeczeństwo rzeczy nieistniejące i usypiamy czujność tych, którzy przede wszystkim jak dotąd ponoszą prawdziwą odpowiedzialność za przyszłe pokolenie — to jest rodziców. Każąc im odejść na drugi plan i wytrącając z ich rąk inicjatywę wychowawczą na rzecz tych, którzy ani warunków, ani czasu, ani sił nerwowych na dźwignięcie tego ciężkiego zadania nie mają — dążymy wprost do obniżenia kultury i moralności młodzieży.

Skutki tej taktyki nie dały na siebie długo czekać. Od lat całych rodzice słyszą o tym, że współczesna szkoła nie tylko uczy, ale przede wszystkim wychowuje, od lat rodzice wysłuchują z tego tytułu nieustannych kazań i pouczeń, głoszonych bardzo autorytatywnie przez szkołę, jednak gdy zdarzy się, że młodzież gdzieś źle się zachowa, lub za mało wykaże wyrobienia obywatelskiego — wtedy bez żadnych skrupułów odpowiedzialność za to na dom się przerzuca.

A tymczasem młodzież, ta kulturalnie w domu chowana, właśnie na terenie szkolnym uczy się od kolegów grać w karty, palić papierosy i używać obrzydliwych słów. Dawniej, gdy szkoła nie miała pretensji do odgrywania wielkiej roli wychowawczej i stawiała sobie za cel przede wszystkim nauczanie — można było takie zjawisko w pewnej mierze wytłumaczyć. Lecz dziś, gdy szkoła tak wiele mówi o swych kwalifikacjach wychowawczych, wygląda to dziwnie, że — zapatrzona w odległe i wielkie cele obywatelskie — nie umie na swoim małym odcinku powściągnąć nie tylko wykroczeń tych, którzy złym przykładem zarażają swych kolegów, ale nie może usunąć nawet prawdziwego przestępstwa, że wspomnę tu o kradzieżach, które wnosząc ze słów p. Kubińskiego gdzieniegdzie zdarzają się w szkołach. To są rzeczy, które bardzo obciążają sumienie współczesnej szkoły, a jednak wychowawcy są jakoś wobec nich bezradni. Można to oczywiście i dziś wytłumaczyć i usprawiedliwić ciężkimi warunkami ich pracy, lecz w takim razie trzeba rzeczywistości spojrzeć w oczy i otwarcie sobie powiedzieć, że szkoła może robi wielki, celowy i pożądany wysiłek i zasługuje w tym względzie na życzliwą ocenę i poparcie społeczeństwa, ale jak dotąd wychowuje naprawdę przede wszystkim dom i bez względu na to, czy robi to lepiej czy gorzej — wpływ jego na dziecko dominuje nad wpływami szkoły. Jest on stały i niezmienny, trwający od chwili urodzenia aż do dnia, w którym dziecko staje się człowiekiem dojrzałym i przygotowanym do samodzielnego życia. Na przestrzeni tych lat przeżywa ono wespół z rodzicami dole i niedole rodzinnego domu, wzrasta i dojrzewa w jego tradycjach, przyjmuje jako naturalny tryb i sposób życia jego rodziców i tworzy wraz z nimi całość, zwaną rodziną, od której nie oderwie się nigdy, bo atmosfera domu rodzinnego nieraz jeszcze odżyje w przyzwyczajeniach, skłonnościach i zamiłowaniach dojrzałych lat.

Ileż w tym wszystkim miejsca zajmuje szkoła? Podczas gdy rodzice tworzą i kształtują materialne i moralne życie dziecka, szkoła jest tylko fazą, krótkim okresem, a wpływ wychowawcy szkolnego ogranicza się do 4—6 lat, w ciągu których nie jedno, nie dwoje — jak w domu, — lecz kilka dziesiątków dzieci ma równe prawo do opieki i uwagi. Czyż jest on w stanie w tych warunkach wziąć na siebie odpowiedzialność za kształcenie charakteru poszczególnych jednostek? Prawda — jest on uzbrojony w swą wiedzę zawodową i z tego powodu tak czasem pewny siebie, że nawet odmawia rodzicom prawa zabierania głosu w sprawach wychowawczych (vide artykuł p. Nowaka-Dłużewskiego, Przegląd Pedagogiczny, Nr. 19). Niestety jednak, ukończenie fachowych studiów daje jedynie prawo do pracy nauczycielskiej, nie jest wszakże wcale patentem na d o b r e g o wychowawcę, tak samo jak dobra znajomość języka i literatury nie czyni nas jeszcze poetami. Aby być dobrym wychowawcą — trzeba urodzić się nim, trzeba mieć powołanie do tego zawodu i miłość do młodzieży. To są prawdziwe kwalifikacje, które uzupełnione gruntownymi studiami, składają się na typ prawdziwego przewodnika młodzieży. Jeżeli zaś zawodowe wykształcenie nauczyciela ma przesądzić sprawę jego wyższości nad rodzicami, to jakże wytłumaczyć sobie fakt, zdarzający się wcale nie tak rzadko, że zawodowi pedagodzy miewają wręcz źle wychowane dzieci? Czemuż nie przyszła w porę z pomocą ta wiedza fachowa, podobno tak niezawodna w odniesieniu do cudzych dzieci.

My rodzice bardzo cenimy i szanujemy rzetelny wysiłek szkoły w kierunku podniesienia jej wpływu wychowawczego na młodzież i sami niczego więcej nie pragniemy, jak móc jej powierzyć spokojnie swoje dzieci. Uznajemy, że wiele się już robi w tej dziedzinie, a to co się zrobiło byłoby zupełnie inaczej ocenione przez rodziców, gdyby nie powtarzające się od czasu do czasu w różnych formach wystąpienia nauczycieli, którzy, zatraciwszy poczucie granic swoich pełnomocnictw, zaczęli traktować rodziców, jak element podrzędnego znaczenia. Ci wyrządzili sprawie współdziałania wychowawczego większą krzywdę, niż ograniczeni lub niekulturalni rodzice, którzy przychodzą do szkoły, aby pilnować swych interesów. Bo tacy rodzice są jednostkami, odpowiadającymi jedynie za siebie, a nauczyciela utożsamia się ze szkołą i jego wystąpienia mają charakter niejako oficjalny.

Nie. Tymi drogami nie dojdziemy do niczego, raczej doznamy opłakanych skutków tych sporów. Już ciągle się słyszy o bijących w oczy, stale piętnowanych wadach dzisiejszej młodzieży. Jakże je wyplenić w tym niedojrzałym społeczeństwie, jeśli dwa czynniki rządzące zamiast wspierać się i uznawać wzajemnie — są nieustannie w stanie konfliktu a nawet walki. Jedna jest tyldo droga dla domu i szkoły: droga wzajemnej pomocy i wzajemnego szacunku. A żadne inwektywy, rzucane na rodziców, nie zmienią tego, że są oni i pozostaną pełnoprawnymi i odpowiedzialnymi opiekunami swych dzieci, odpowiedzialnymi nie tylko za własne czyny, ale nawet i za to, co szkoła z ich dziećmi zrobiła.

Zofia Polanowska.

A R T Y K U Ł Y D Y S K U S Y J N E.

KŁOPOTY WYCHOWAWCÓW.

Naprawdę od tych kłopotów ciężko się opędzić, gdy się w dzisiejszej szkole sprawuje trudną i odpowiedzialną funkcję wychowawcy. A przede wszystkim, gdy się czuje żywo i silnie tę odpowiedzialność wobec własnego sumienia, wobec społeczeństwa i przyszłości powierzonej młodzieży.

Naładowany teoriami i poglądami, od krańcowo przeczących pożytkowi wychowania w szkole do entuzjastycznych przesadnie, z chwilą, gdy stanie oko w oko ze swymi wychowankami, chce wychowawca o papierowych rozprawach zapomnieć, a motorem wychowania zrobić doświadczenie, zapał, rozum i serce.

Nad każdą czynnością wychowawczą świeci jak jaskrawe słońce myśl o dobru ojczyzny. Nauczyciel uświadamia sobie, że „wychowanie jest procesem, wykonywanym przez pokolenie starsze na młodszym. Cechą tego procesu jest przymus, wykonywany przez osobę wychowującą na wychowywanej dla zapewnienia jej warunków rozwoju i przystosowania jej do otoczenia. Celem tego procesu jest przekazanie wychowankowi doświadczeń, zebranych przez przeszłe pokolenie, przechowywanych w mowie i piśmie, aby proces rozwojowy nie doznał przerwy. Z istoty tego procesu wynika, że *wychowanie nie może być obce społeczeństwu* (Ziemnowicz: „Problemy wychowania współczesnego").

Rozumny i prawy wychowawca nie trzyma się jakiegoś skostniałego, sztywnego systemu, który nie mógłby nadążyć za potrzebami życia.

Przeżywa w swych trudach chwile radości, zadowolenia, upadków i wzlotów. Ale kłopoty, lepkie i trujące kłopoty, nie chcą się odczepić, silnymi mackami przywierają do mózgu swej ofiary.

Kłody pod nogi wychowawcy rzuca szkoła, a może lepiej: dzisiejszy system szkolny. Społeczeństwo, a może najwięcej *rodzice*. Za wiele złego na jednego. Trudno się z nimi uporać...

Dzisiejsza szkoła polska stawia teoretycznie wychowanie bardzo wysoko i żąda usilnej pracy od wychowawcy w tym kierunku. Daje jednak tak ogólne i szerokie ramy temu wychowaniu, że właściwie wychowawca jest zostawionu samemu sobie. A więc w tej samej szkole rozbieżności wśród wychowawców co do rozmiarów rygorów, metod i celów pracy wychowawczej, w tym samym mieście i miasteczku różnice w wychowaniu młodzieży różnych szkół, nawet tego samego typu. Jeden z dyrektorów pedant, drugi filozof, trzeci społecznik lub organizator szczegółów w wychowaniu. Swój sposób myślenia chce narzucić podwładnemu gronu nauczycielskiemu. Dyrektor szkoły średniej, który kładzie nacisk na wychowanie społeczne, bokiem traktuje wychowanie estetyczne, taki znów, dla którego wychowanie państwowe i narodowe jest ambicją twórcy, mniej docenia wychowanie moralne czy estetyczne itp.

A cóż mówić o wizytatorach, którym tak trudno dogodzić!...

A tymczasem ten zakłopotany i odrzucany jak piłka od jednej do drugiej teorii wychowawca nie ma w programach przeznaczonej na swe prace pedagogiczne *żadnej chwili, żadnej godziny*.

(Nie wspominajmy o tym, że za te odpowiedzialne prace nie jest pieniężnie wynagradzany).

Zabiera więc uczniom i sobie czas na co innego przeznaczony. Twórcy programów wiele zgrzeszyli pod tym względem...

Kłody pod nogi wychowawcy rzuca również *społeczeństwo*.

Rozumuje jak ongiś, jak bardzo dawno, że szkoła ma uczyć, a te „szopki wychowawcze" należą do kuglarskich sztuczek. Niech się bawią, ut aliquid fecisse videatur. Stąd toleruje zatruwanie się nikotyną, alkoholem, gonokokami itp. młodych organizmów, „bo młodzi się wyszumić muszą, bo i ja, panie dzieju, tak robiłem: a jestem chlubą swego zawodu i ten tego..." Stąd toleruje prostackie i chamskie zachowanie się młodzieży w miejscach publicznych, w pociągach i tramwajach, na salach balowych i w teatrach.

Gdy oburzony do żywego objawami zdziczenia naszej młodzieży na ulicach i w parkach naczelny komendant policji, generał Kordian-Zamorski, oświadczył, iż posterunkowi policji takich młodzieńców szkolnych, czy podobne panien-

ki będą legitymować, podniósł się hałas oburzenia (!), że nie można wobec naszej młodzieży stosować takich środków „policyjnych". Oto oblicze naszego społeczeństwa! Gdy samo nię ma odwagi, by głośno, po męsku ukrócić wybryki niedorostków, przynoszących ujmę mundurowi szkolnemu i gdy mu to wytknie władza, oburza się...

To niezdecydowanie, to rozmiękczenie kręgosłupa moralności naszego społeczeństwa, każe z rozpaczą patrzeć na wyniki wychowawczej pracy nauczycielowi szkoły średniej. Co on utrwali w szkole, co stanie się twórcze wychowawczo w szkole, to pada w proch, wali się w niwecz za murami szkoły na brukach ulic, na posadzkach prywatnych domów. Gorzkie słowa cisną się pod adresem naszego, tak bardzo moralnie zacofanego, nie tego maluczkiego duchem, ale tego pseudointeligentnego społeczeństwa. Na nie trzeba by rózeg liktorskich!

Jako cząstka tego społeczeństwa godnie reprezentuje zacofanie wychowawcze dzisiejsza rodzina ucznia, o którym mówimy. Jeśli chodzi o fałsze w wychowaniu, o zakłamany stosunek do szkoły — to rodzice i opiekunowie naszych uczniów w wielkich miastach (z Warszawą na czele) stanowią w swych myślach, czynach i zamiarach wobec synów i córek ponury obraz niewiedzy, często złej woli, zmyśleń i nieprawdy, szukania sposobów i sposobików, splotu próśb, błagań i gróźb, fałszywych pochwał i fałszywszych jeszcze oczernień... szkoły, władz szkolnych, nauczycielstwa i systemu szkolnego. Anonimowe listy, uszczypliwe, na ucho szeptane plotki, oszczercze artykuliki i notatki w podrzędnych pisemkach, nachodzenie nauczyciela w domu — to skutki tego światoburczego faktu, że „nadobny" Jaś, czy „genialna" Małgosia dostali niedostateczną notę z łaciny, czy fizyki. Przekleństwa, obelgi, czy dowcipy pod adresem „surowego i mściwego" nauczyciela słyszy w domu uczeń i nabiera odpowiedniego wstrętu do swego wiedzodawcy i do całej szkoły. A mimo świadomości notorycznego lenistwa musi wierzyć, bo tak słyszy w domu, że nie on, ale nauczyciel i szkoła winny jego złym postępom.

To, co miało być dobrem uczniów, rodziców i szkoły, te wspólne konferencje i rozmowy nauczycieli i rodziców o postępach i duszach córek i synów w szkołach, stało się najczęściej koszmarną zmorą życia nauczycielskiego, udręką tego zawodu i zatruciem spokoju duchowego wychowawców.

Rodzice zamiast się informować i wzajemnie szukać wyjaśnień, nudzą, błagają, wymuszają. Nauczyciel jako sumienny sędzia waha się często między litością i jałmużną a obowiązkiem służby i przysięgą służbową. Ma żal do siebie, do otoczenia, do władz, do zawodu, iż musi przy każlej klasyfikacji przechodzić te nieludzkie udręki.

Szkoła polska postawiła słusznie i koniecznie na wysokim piedestale współpracę domu ze szkołą. W tej dziedzinie osiągnęliśmy dodatnie rezultaty, jakich nie mają inne narody, co niejednokrotnie pod adresem Polski wyrażano z uznaniem na pedagogicznych zjazdach międzynarodowych. Ale w domu, u siebie, możemy temu systemowi przyznać także luki, wady i zniekształcenia.

Wychowawca musi boleć nad fałszywym stosunkiem rodziców (najczęściej matek) ze sfer miejskich inteligentnych, do własnego dziecka w szkole. Chroni się to dziecko przed wysiłkiem, przed pracą umysłową, a najgorsze, że się przez palce patrzy na uchybienia moralne. Takie dziecko np. warszawskie, ze sfer posiadających, zbyt obficie mięsem odżywiane, rozpieszczone pobłażliwością rodziców i rodziny, za wiele posiadające pieniędzy „na drobne (?) wydatki", ubrane wykwintnie — uważa za dopust boży prawdziwą pracą w domu i szkole, czuje pogardę do pracy ręcznej, nie może opanować zmysłów, pod-

niecanych nadmiarem białka (często alkoholem) i szuka sposobików, byle jakoś szkołę (w ich języku „budę") obejść, uniknąć wysiłku i nie przejmować się „papierowym" życiem. Wychowawca wobec takiej młodzieży jest bezsilny. Sam musi często pomagać, by te opieszałe, leniwe, bierne, ociężałe organizmy duchowe podpierać korepetytorami, opiekunami, radami i wskazówkami (jakże często bezskutecznymi!).

To też za pewnik wśród nauczycielstwa uchodzi teza, że wychowawstwo w wielkich miastach (szczególnie w Warszawie) jest niewdzięcznym posłannictwem, o wiele cięższym, niż w małomiejskich lub internatowych szkołach. Stąd to „wychowawcze" zgorzknienie nauczycielstwa, stąd biegunowo przeciwne stanowiska przy tym. Obraz byłby fałszywy, gdybyśmy powiedzieli, że w 100% znajdujemy taką młodzież i takich rodziców. Ale dobrze nie jest. Nie chodzi o cyfry, lecz o ciężar gatunkowy zjawiska. A może wychowywać rodziców? Do tego dążył Ovidiusz Decroly: „Odwrócił odwieczny stosunek ucznia do nauczyciela — na pierwszym miejscu postawił dziecko, jako osobę czynną, by dziecko uczyło siebie, wychowywało siebie, a nauczyciel, stopiony w jedno z wychowawcą dziecka, mianowany natomiast na urząd zgoła nowy: n a n a u c z y c i e l a r o d z i c ó w, był tylko dziecka sojusznikiem i pomocnikiem w jego uczeniu się, w jego wychowywaniu się, w jego samorzutnym rozwoju". (A. B. Dobrowolski).

Nie można powiedzieć, by szkoła polska i tu nie działała. Nie można powiedzieć, by rodzice pod tym względem byli materiałem opornym. Ale kiedyż ten zapracowany nauczyciel znajdzie czas na te chwalebne czyny i wysiłki?

Na ten odcinek zagadnienia domu i szkoły powinni fachowcy i władze szkolne zwrócić większą uwagę.

Zapytamy zapewne: Krótko mówiąc, jaki kierunek wychowawczy jest najbardziej pożądany w szkole? Co ma robić wychowawczo nauczyciel?

Jeżeli chodzi o polskie szkoły, to musimy odpowiedzieć, że w y c h o w a n i e m o r a l n e jest nam najpotrzebniejsze. Bo naszemu społeczeństwu, posiadającemu wysokie zalety charakteru, zalety często „od święta", brak drobnych moralnych „na codzień" zalet, tak bardzo podziwianych w demokracjach Zachodu: pracowitości celowej i wytrwałej, nie dla rozgłosu, sumienności i skrupulatności w wykonywaniu pracy, punktualności w dotrzymywaniu przyrzeczeń, uczciwości i pewnej „honorowości" w każdym, choćby najpowszedniejszym uczynku, bezwzględności w tępieniu moral insanity itp.

Jak w społeczeństwie ludzi dorosłych, tak również w społeczeństwie „szkolarzy" brak tych moralnych zalet, tych drobnych właśnie. Co gorsza, w tym drobnym społeczeństwie uchodzi często za bohaterstwo uprawianie odmiennych „cnót": wykręcania się od pracy, podstępów dla oszukania czy wprowadzenia w błąd nauczyciela, posługiwania się w pracy „namiastkami", a nie oryginalnymi wytworami, gwałtowna obrona przed posuwaniem się naprzód itd.

Te różne „ściągawy", kłamstwa szkolne, wypieranie się winy popełnionej, podpowiadania, odpisywania, podsuwania nauczycielowi obcej pracy jako swojej, nawet kradzieże (!) — oto sygnały, że poziom moralny szkoły dzisiejszej obniża się wyraźnie.

Toteż niejednokrotnie słyszy się ze strony zatrwożonych obserwatorów żądania edukacji moralnej, a z krytykami rozprawia się Amerykanin, prof. Devey w następujący sposób:

„Ci przeglądając programy oraz plany nauki i nie znajdując godzin, specjalnie wyznaczonych na wykłady etyki lub „naukę moralności", głoszą, że szkoły nic lub prawie nic nie robią dla kształcenia charakteru i krytykują namiętnie niedostatki wychowania w zakresie rozwoju moralnego. Nauczyciele zaś zarzuty

tego rodzaju odczuwają jako niesprawiedliwość, utrzymując nie tylko, że „uczą moralności", lecz żę uczą jej w każdej porze dnia, sześć dni w tygodniu. Twierdząc tak, nauczyciele w zasadzie mają rację; jeśli słuszność nie jest po ich stronie, to bynajmniej nie z powodu braku godzin, oddzielnie wyznaczonych na to, co ostatecznie mogłoby być jedynie nauką o moralności, lecz dlatego, że ich charakter własny albo duch i ideały szkoły, lub metody nauczania, czy też przedmioty nauki nie są w szczegółach takie, by wyniki intelektualne w tak żywotny wchodziły związek z charakterem, aby stawały się czynnymi siłami postępowania".

A dalej stwierdza autor, że nie „bezpośrednia nauka normalna" ma w szkole znaczenie, lecz „kształcenie charakteru za pomocą wszystkich czynników, środków i warunków życia szkolnego".

A więc te same kłopoty, troski i braki w kraju Yankesów, co i u nas.

Wychowawca na tym polu spotyka się z nauczycielem religii. Tylko gdy ten wskazuje wielkie, często przestraszające siły umysłowe ucznia, ideały Boga, życia wiecznego, porządku moralnego w duszach, tamten ściąga uwagę wychowanka na ziemię i pokazuje mu praktyczne, doczesne cele.

Uczciwość, praca, sumienność — to hasła, które nasi etycy społeczni i literaci wpajają wiekami w dusze społeczeństwa polskiego (dość wymienić B. Prusa), a wyniki bardzo mierne. Wstydzimy się, gdy wspomnieć z ostatnich lat procesy „inteligentów" za defraudacje, oszustwa, oszczerstwa, i tp. Ten indyferentyzm moralny przepływa tysiącznymi ściekami do szkoły. Jakże boleśnie pisać, że w szkołach polskich (gdzieniegdzie) zachodzą wypadki kradzieży!

Nie słychać o żywszej reakcji społecznstwa. Tak, g d z i e n i e g d z i e zachodzą te wypadki, ale to objawy gangreny moralnej. A winą zawsze nasze lekceważenie drobnych uchybień i przestępstw, pobłażliwość w ocenie.

Tu nauczyciel-wychowawca ma nawał pracy. Nie znajdzie się nikt, kto nie byłby głęboko przekonany, że mniej wykształcony uczeń, ale prawy, ale sumienny, ale pilny w pracy, jest wielokrotnie więcej wart dla społeczeństwa, niż bardzo zdolny leń, uprawiający wykręty, kłamstwa, otoczony „ściągawami" i „brykami". Podziwiać takie moralne zdrowie społeczeństwa, które w ręce prokuratora oddaje oszusta szkolnego, posługującego się „ściągawami" i niedozwolonymi pomocami. Czy takie społeczeństwo istnieje? Tak, czynią to Anglicy.

Szkoła polska, która wypuści w świat uczciwych ludzi, zasłuży się dobrze społeczeństwu i ojczyźnie.

Bo wychowawca wie, że moralne społeczeństwo w razie niebezpieczeństwa wobec wroga więcej znaczy, niż armaty i czołgi. Moralne wychowanie to ważne dzieło dla obronności naszego państwa. Moralni żołnierze i oficerowie, to armia nie do pokonania.

Ojczyzna nasza, ujęta między dwa walce ze wschodu i zachodu, musi mieć obywateli o wyraźnym obliczu etycznym, musi mieć wyznawców prawdy, dobra. uczciwości i odwagi moralnej. O takiej myśleli poeci romantyczni, chcąc ją postawić na czele Europy. Taka Polska możę kroczyć z wiarą w przyszłość.

Oto jakie marzenia i kłopoty mieści w swym szerokim sercu polski dzisiejszy wychowawca. Im więcej się trapi tymi zadaniami, im więcej się zbliża do ich realizacji, tym zdrowsza szkoła. Bo „nie piękne metody i przepisy, tylko osobowość nauczyciela głównym zagadnieniem. Bo tylko on, a nie wola przepisodawcy nadaje piętno życiu szkolnemu" (Tumlirz).

Do kłopotów tego wychowawcy należy czasem myśl, czy też nie przesada w malowaniu czarnymi barwami teraźniejszości szkoły polskiej. W tym strapieniu mieści się wiara w przyszłość szkoły, wiara w społeczeństwo, wiara we współpracę rodziny, szkoły, nauczyciela.

Ta wiara w kłopotach krzepi i podnosi siły.

„Państwo jest zawsze przyszłością, jest tym, co my naszym postępowaniem musimy stworzyć, od dziś, od tej chwili, całym naszym przyszłym wysiłkiem, skierowanym ku temu ideałowi politycznemu, który przyświeca nam nie tylko jako piękna idea, ale jako nieodzowna potrzeba naszej własnej osobowości" (G. Gentile).

Kłopoty ustępują przed mocną wiarą, przed twórczą myślą o przyszłości ich i nas wszystkich.

Przedruk z wydawnictwa „Dom i Szkoła" II Rocznik Patronatów IV Gimnazjum państwowego im. Ad. Mickiewicza w Warszawie.

Roman Kubiński.

GŁOSY RODZICÓW.

To trzeba zmienić.

Jestem wielkim zwolennikiem harcerstwa, cenię jego wielkie wartości wychowawcze, głównie wyrabianie w młodzieży obowiązkowości, rozwijanie inicjatywy. Jestem naprawdę zbudowany całkowitym podporządkowaniem się chłopca czy dziewczyny swoim władzom harcerskim i prestige'owi organizacji, tylko patrząc na tegoż harcerza w jego domu rodzinnym nie widzę w nim jakoś różnicy w zachowaniu, tak samo jest krnąbrny, nieposłuszny, nieporządny i leniwy jak przed zapisaniem się do harcerstwa. Widać nie czuje potrzeby przeniesienia zdobytych w organizacji walorów na teren rodziny. A jeśli sam nie odczuwa tego, pytam — czy nie było by wskazaną ze strony władz harcerskich mocniej podkreślić, że harcerz ma być harcerzem nie tylko na obozie lub zbiórce, ale i na codzień, *nawet* wśród swoich bliskich?

Jeszcze jedna sprawa. Harcerstwo nie uczy lub uczy zbyt mało porządku i poszanowania własności. Widać to doskonale w niesnaskach i tarciach rodzinnych po powrocie z obozu, gdy większość ekwipunku obozowego okazuje się być rozpożyczona kolegom, którzy jakoś zupełnie nie kwapią się z oddaniem. Dobrze, że sobie pożyczają, że są koleżeńscy, ale niechże czują, że to jest *pożyczone*, a nie własne. Koleżeństwo i wynikająca z niego wspólna własność to rzecz bardzo cenna i wartościowa, ale tylko dotąd, dopóki nie staje się nonszalanckim lekceważeniem sobie pieniędzy czyichś rodziców, którzy przecież na następny obóz znów muszą kompletować ekwipunek, a co przychodzi im nieraz z dość dużym wysiłkiem materialnym.

I wreszcie ostatnia moja uwaga: czy władze harcerskie nie zbyt mało liczą się z warunkami domowymi młodzieży, z trybem życia w jej rodzinie, skutkiem czego często bezwzględny rozkaz np. zbiórki o godz. 16-tej (gdy normalnie praca w biurach kończy się o 15-tej i wtedy wracają do domu na obiad pracujący członkowie rodzin) napotyka na ostrą krytykę i sprzeciw domowników, którzy również *bezwzględnie* żądają zjedzenia obiadu o codziennej porze i wśród spokojnej atmosfery, niezakłóconej pośpiechem druha, czy druhny. To wywołuje niepotrzebny rozdźwięk, a jest do uniknięcia przez dostosowywanie godzin zajęć harcerskich do rozkładu dziennego w *większości* rodzin.

Andrzej Milewski.

Goście w Warszawie.

Maj, czerwiec, w ogóle wiosna tego roku przeszły w Warszawie pod znakiem zbiorowych przyjazdów do stolicy dzieci mazurskich, poleskich, huculskich i innych. Wprost roiło się na ulicach od guniek, serdaków, chusteczek kwiecistych , spódnic barwnych, kierpców i trepków różnego rodzaju. Długie szeregi dzieci przyjezdnych prowadziły po Warszawie przeważnie uczennice

wyższych klas gimnazjum i czyniły to, trzeba przyznać, z wielką godnością i odpowiedzialnością, mimo często olbrzymiego zmęczenia zwiedzaniem, upałem i gościnną opieką. Rodzice naszej młodzieży poznali również małych przybyszów bądź na ich popisach, w których brali udział jako zaproszeni goście, bądź u siebie w domu, ponieważ niektóre wycieczki urządzały się w ten sposób, że nasza młodzież zapraszała do siebie na obiad każde po jednym dziecku, dzieląc w ten sposób pośród siebie uczestników całej wycieczki. Na ogół wszystkie rodziny przyjmowały młodocianych gości z niezwykłą gościnnością, tak że w niejednym domu dzieci były nie tylko dobrze karmione, ale wprost przekarmiane, np. pewien mały hucuł podczas obiadu, gdy wszyscy domownicy prześcigali się w nakładaniu mu na talerz różnych smakołyków, nagle zdecydowanym ruchem odepchnąwszy talerz, wstał manifestacyjnie i zawołał głosem pełnym stanowczości: „jeszcze trocha aby pękł!”

Rodzice uczestniczyli wyraźnie w tej akcji zbliżenia regionalnego, a często zawiązana w ten sposób znajomość pogłębiała się i czyniła bardziej serdeczną korespondencję między tamtą a naszą młodzieżą, zwłaszcza gdy nierzadko brali w niej udział rodzice, przesyłając sobie wzajemne pozdrowienia. Oczywiście z tamtej strony przeważnie nie obyło się bez reklamy letnisk, słowem przyjemne z pożytecznym.

Ponieważ przyjazdy dzieci do stolicy nie są już sferą projektów, lecz jest to już sprawa zupełnie konkretna, rodzice muszą i na tym terenie współpracować z młodzieżą i czuwać by praca jej rozwijała się pożytecznie dla obu stron. Nie można pozwolić naszej młodzieży na próżne łudzenie dzieci możliwością przyjazdu do Warszawy i zapraszać ot tak, na wiatr, gdy nie ma zupełnie pewnych podstaw do zaofiarowania gościny. W pewnej wsi huculskiej dzieci tylekroć były zapraszane i za każdym razem okazywało się, że niestety nie mogą pojechać, że gdy wreszcie przyszedł list z prawdziwym, realnym zaproszeniem — nikt już prawie wierzyć nie chciał, każde dziecko musiało samo dotknąć listu, samo przeczytać, *zobaczyć*, że pojedzie. Rodzice muszą czuwać, aby wszystkie zaproszenia i projekty, jakie wychodzą od naszej młodzieży, czynione były z rozwagą i na realnych podstawach, żeby nie okazywały się tylko czczą obiecanką, która wywołuje zawód i zamiast zamierzonego zbliżenia się sfer daje brak zaufania i gorycz. *L.*

CHŁOPCY.

Antek ma lat 10. Dobrze rozwinięty fizycznie. Silny, zgrabny. Zdrowy zawsze i wesoły. Żywy, energiczny, śmiały, przedsiębiorczy. Przez kolegów lubiany, gdyż to on zawsze organizuje im wszystkie gry i zabawy i jest świetnym dowódcą.

Nauczyciele lubią go także, bo jest sympatyczny, uprzejmy; uczy się dobrze, wyróżnia się inteligencją, pilnością, przy tym jest bardzo ambitny.

Ale w domu jest inaczej. Matka nie umie zupełnie z nim sobie poradzić. Nie słucha jej wcale i strasznie uparty. Trzeba zaznaczyć, że charakter odziedziczył częściowo po matce.

Wszyscy to mówią. Matka jest arbitralna, nie znosi sprzeciwu, prędko wybucha, w swych postanowieniach nieugięta.

Z wiekiem, stosunki pomiędzy matką a synem ulegają pogorszeniu. Nieraz dochodzi do gwałtownych scen rodzinnych. Sceny te wyczerpują i matkę i syna i wytwarzają w domu nastrój naprężenia, który daje się odczuć nawet odwiedzającym.

Ojciec Antka nie żyje, nie ma więc nikogo, kto mógłby poskromić małego buntownika.

Dawniej jeszcze, gdy był mały, matka potrafiła zmusić chłopca do uległo-

ści. Nierzadko za nieposłuszeństwo karała go biciem. Teraz boi się go dotknąć. Boi się o siebie. Chłopak wydaje się jej czasami nieobliczalny. Jego ataki, stany rozdrażnienia w jakie wpada, momenty podniecenia nerwowego nasuwają przypuszczenie, że dziecko jest może chore.

Lekarz, którego się poradziła, nie znalazł żadnych poważniejszych zmian chorobowych prócz nieznacznej pobudliwości nerwowej. Wkrótce i sytuacja w szkole zaczęła się zmieniać. Bezustanne starcia w domu rozdrażniają chłopaka coraz więcej. Swój niekorzystny nastrój zaczyna on przenosić z gruntu domowego na teren szkolny. Traci porozumienie z kolegami, stając się bezwzględnym i kapryśnym. Parokrotnie naraził się nauczycielom. Raz w najwyższym uniesieniu pchnął kolegę tak nieszczęśliwie, iż ten padając uległ poważnym obrażeniom.

Wobec tego, że zachowanie Antka nie ulegało poprawie a raczej stawał się on z każdym dniem bardziej niemożliwy, rada pedagogiczna uchwaliła, że jest on dzieckiem wybitnie trudnym do prowadzenia i zaproponowała matce odebranie go ze szkoły i umieszczenie w zakładzie specjalnym dla dzieci trudnych.

*

Wojtek ma około 11-tu lat i też jest jedynakiem. Szczuplejszy od Antka, delikatniejszy i chociaż wszyscy lekarze, do jakich tylko matka z nim chodziła, zdecydowali, że jest on zupełnie zdrów i żadna choroba mu nie grozi, w domu jednak drżą stale o niego, gdyż jako dziecko był wątły i chorowity, skłonny do zaziębień, męczył się łatwo itd.

Bardzo rozpieszczany. Matka nie opuszczała go ani na krok. Zawsze była przy nim. Razem chodzili na spacery, razem wycinali obrazki, a podczas pobytu nad morzem razem budowali zamki z piasku.

Wojtek nie bawił się nigdy z innymi dziećmi. Matka uważała, że dzieci są rozsadnikami chorób. Delikatny Wojtek mógł łatwo zarażać się. Poza tym dzieci nie zawsze są grzeczne: nieposłuszne, skłonne do kłótni i bójek (zwłaszcza chłopcy). A Wojtek taki był grzeczniutki!

I dlatego matka Wojtka była zawsze z nim. Przy tym jeszcze jedna przyczyna. Matka Wojtka nie była szczęśliwa w swym pożyciu z mężem. I syn był dla niej wszystkim.

Przepisowy termin pójścia do szkoły został odroczony wobec tych samych względów, dla których Wojtek nie mógł się bawić z obcymi dziećmi. Uczył się w domu pod nadzorem matki i prywatnej nauczycielki aż do lat dziesięciu.

Z chwilą pójścia do szkoły rozpoczęła się tragedia i dla Wojtka i dla jego matki. Koledzy wydrwiwali kompletny brak samodzielności chłopca, kpili, dokuczali mu na różne sposoby, przezywali go. Wojtek płakał, skarżył się nauczycielom, to, rzecz prosta, nie pomagało mu a raczej szkodziło.

Koledzy znienawidzili go i nieraz potłukli. Interwencje matki u wychowawców nie odnosiły wielkiego skutku. Wojtek przychodził do domu ze szkoły spłakany, z bólem głowy. Nawet nauka, do której tak się garnął początkowo, przestała go interesować. Błagał rodziców by pozwolili mu uczyć się jeszcze w domu, lub przenieśli go do innej szkoły. Wkońcu rodzice uczynili tak, ale i w nowej szkole sytuacja nie uległa zmianie na lepsze. Nie przyzwyczajony do towarzystwa dzieci, Wojtek nie potrafił współżyć z nimi. Niezaradny, niepraktyczny życiowo, egoista, czasami znów wobec kolegów zbytnio onieśmielony, doznawał stale moc rozczarowań i przykrości.

Matka była zawsze jego jedyną pocieszycielką i najbliższą mu osobą. Niepowodzenia na gruncie koleżeńskim, wstręt do szkoły, lęk przed drwinami, wszystko to podziałało na chłopca tak, że stan jego nerwów został zagrożony i zalecono mu dłuższą kurację sanatoryjną.

Zarówno dla syna, jak i dla matki, była to pewna ulga w dotychczasowych warunkach, była to ucieczka z trudnej życiowej sytuacji, w jakiej się znaleźli oboje.

*

* *

Oto znów krótka historia Leszka. Ma lat czternaście. Jest co prawda mały na swój wiek, ale za to zbudowany mocno, barczysty, muskularny, o ruchach energicznych, zwinnych. Chłopak niebrzydki i niegłupi. Przy tym, czynny, towarzyski, lubiany przez kolegów i najbliższe otoczenie. Wrażliwy, łatwo przejmuje się krzywdą lub cierpieniem innych. Do rodziców swych szczerze przywiązany, z rodzeństwem zgodny. Rodzice z czułością i zadowoleniem myśleli o przyszłej karierze obiecującego syna.

Przed rokiem jednak zaczęło się coś psuć w postępach szkolnych, posypały się dwójki. Początkowo Leszek przyznawał się do nich rodzicom z całą otwartością. Na razie rodzice ubolewali tylko, lecz gdy historie z dwójkami powtarzały się, nie umieli ukryć swego niezadowolenia, zasypywali syna wyrzutami, zawstydzając go wobec rodzeństwa a nawet wobec obcych. Przy gościach nawet narzekali na niego.

Leszek zaczął kryć się ze złymi stopniami. Często nie przyznawał się do nich. Potem zaczął wykręcać się, kłamać i jak mówią: „w żywe oczy zapierać się".

Zaczął przerabiać stopnie w dzienniczku a nawet fałszować podpisy. Jego wysiłki celem ukrycia prawdy były tak niezdarne, że aż zadziwiały swą naiwnością. Rodzice zaczęli stosować srogie kary. Samopoczucie chłopca w domu stawało się fatalne. Rozpoczęły się wagary ze szkoły. Potem — ucieczki z domu. Pierwsza ucieczka to kilka nocy spędzonych na ulicy, później znikał na dłużej. Zabierał też z domu pieniądze. Zaprzyjaźnił się z włóczęgami, z nieletnimi złodziejami. Stali się jego przyjaciółmi, zaczął ulegać ich wpływom.

Niejednokrotnie chwytany przez policję, nierzadko spędzał noc w komisarjacie, w końcu stał się klientem sądu dla nieletnich. Po kilku sprawach rodzice zrzekli się odpowiedzialności za jego postępowanie i zaszła kwestia, czy Leszek nadaje się do zakładu poprawczego.

d. c. n.

Jadwiga Jasnorzewska

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Walne Zebranie Patronatu IV-go Lic. i Gimn. Państw. im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

10-go września b. r. odbyło się Walne Zebranie Patronatu IV-go Lic. i Gimn. Państw. im. A. Mickiewicza.

O powadze poruszanych zagadnień świadczy fakt, że zgromadziło ono około 500 osób z Panem Kuratorem Okręgu Szkolnego Warszawskiego, Wiktorem Ambroziewiczem i Dyr. M. Dadlezem, na czele.

Rolę Patronatu zakreślił w swym przemówieniu dr. M. Dadlez, który po złożeniu najserdeczniejszych podziękowań ustępującemu Prezesowi Patronatu Dyr. Felicjanowi Jabłońskiemu za „Jego gorliwą, niestrudzoną, a pełną zapału młodzieńczego, prawdziwie rzetelną pracę dla dobra szkoły", przeszedł do omawiania „współpracy szkoły z domem", podkreślając konieczność „harmonii" w najszerszym tego słowa znaczeniu. Rozróżniając 3 dziedziny tej współpracy, a więc: „pomoc w nauczaniu w zakresie pracy d o m o w e j, współdziałanie wychowawcze na terenie p o z a s z k o l n y m, oraz pomoc materialną, dawaną szkole na zaspokojenie jej najpilniejszych potrzeb".

Dyrektor Dadlez z całym naciskiem podkreśla „konieczność systematycznej pracy młodzieży oraz regularną frekwencję tejże do szkoły, gdyż jak wykazują dane statystyczne, od tego zależą dobre wyniki nauki". „W tym to punkcie sprawa nauczania wiąże się ściśle z zagadnieniami wychowawczymi", gdzie dom wiele może dopomóc.

„Na terenie zaś samej szkoły Patronaty mogą być t y l k o siłą pomocną". A więc przy organizowaniu wzmożonej opieki nad młodzieżą, udającą się na wycieczki, do teatrów itd. W czasie zaś feryj zimowych przy organizowaniu świetlic letnich, kolonii, obozów itd.

Główne jednak współdziałanie powinno objąć wszelkie godziny pozaszkolne. „Dom nie może taić, osłaniać przed szkołą oblicza tych godzin, gdyż inaczej wspólne dzieło kształtowania człowieka zostanie udaremnione!" A co najważniejsza „niech będzie przede wszystkim troską domu: w y w y ż s z a n i e g o d n o ś c i u c z n i a i d b a ł o ś ć o h o n o r s z k o ł y p o z a s z k o ł ą".

Musi zaś dojść do dysonansu, a nawet „porwania strun porozumienia między domem a szkołą, jeśli dom będzie ingerować niepotrzebnie w sprawy, które do niego nie należą, jeśli będzie przeszkadzał w tym wszystkim, czego wymagają przepisy szkolne, więc: punktualności, pilnej frekwencji, grzecznemu zachowaniu się na ulicy, w teatrach, kinach, sumiennemu wypełnianiu obowiązków itd.".

Oto są te wszystkie sprawy, w których dom „p r a w d z i w i e d o p o m o ż e s z k o l e — j e ś l i n i e j e s t b i e r n y. Jeśli zbliży się do szkoły z prawdziwym zaufaniem". Bo musimy zdać sobie sprawę, że tylko prawdziwe zaufanie umożliwi „wspólne wynajdywanie środków zaradczych" i „tylko popieranie autorytetu szkoły przyczyni się do prawdziwej harmonii". Bowiem „uporczywa, a nierozumna walka niczego nie dokona".

Przechodząc do omawiania spraw pomocy materialnej, udzielanej przez Patronat szkole, główny nacisk położył p. dyrektor na zaopatrzenie biblioteki, pracowni, kompletowanie pomocy naukowych, polepszanie stanu higienicznego (lokalu), warunków nauczania itd.

Następnie p. dyr. Dadlez raz jeszcze podziękował wszystkim rodzicom d o b r e j w o l i za dotychczasową współpracę, oraz prosił o współdziałanie w tym zakresie, w którym dom może naprawdę dopomóc. Na zakończenie zaznaczył p. Dyrektor, że Patronat Gimn. i Lic. im. A. Mickiewicza należy do najbardziej czynnych w Warszawie, czego dowodem jest wydawnictwo „Dom i Szkoła". Całkowita zasługa powołania do życia „Domu i Szkoły" przypada w udziale długoletniemu prezesowi Patronatu Panu Felicjanowi Jabłońskiemu.

Wydawnictwo to porusza cały szereg zagadnień zmierzających do pogłębienia zadań wychowawczych. Jest śmiałą i udatną próbą powiązania wspólną myślą i ideą rodziców — z nauczycielstwem.

Na nowo!...

Nie tylko dzieci rozpoczynając nowy rok szkolny myślą, że zaczynają zupełnie nowy okres życia. I dla rodziców po wypoczynku wakacyjnym następuje odprężenie, zdolność do patrzenia w przyszłość, do krytyki dotychczasowego biegu życia, a w związku z tym, gorące pragnienie zorganizowania życia domowego lepiej, niż to było dotychczas. „Na nowo". Pod powyższym tytułem czytamy w Nr 18 „Pani Domu" bardzo ciekawy, sięgający w głąb współżycia rodziny artykuł Marii Uklejskiej.

Przede wszystkim — pisze autorka — postanawiamy naszą rodzinę skupić po powrocie z wakacji, jeśli nie byliśmy razem.

„Każdy bowiem przywozi do domu moc wrażeń, wspomnień, ciekawych obserwacji, jak również potrzebę podzielenia się swymi przeżyciami i zdobytym doświadczeniem Młodzież wraca zwykle dosyć zmieniona: przebywanie w zespołach wpłynęło na jej usamodzielnienie się, wspaniale rozwinęło jej zaradność, ale obok tego powstały w niej świeżo nabyte przyzwyczajenia do lekceważenia form towarzyskich, wzrost skłonności snobistycznych lub nazbyt wielka pewność siebie, czy też złośliwy sposób wyrażania się o innych...

Z tego właśnie powodu wzbudzenie zainteresowania jednych przeżyciami i opowiadaniami innych członków rodziny, zorganizowanie dnia w ten sposób, żeby przynajmniej w czasie posiłków i bezpośrednio po nich wszyscy mogli widywać się ze sobą, porozmawiać o troskach i radościach — jest jedną z ważnych potrzeb życia rodziny po wakacjach. Zaspokojenie tej potrzeby daje podstawę do porozumiewania się z sobą także w innych, bardziej skomplikowanych sprawach, a często staje się podstawą ogólnego, w szerokiej skali pojętego „zrozumienia", o którym tak bardzo marzy i którego tak bardzo potrzebuje młodzież. Jest niezmiernie ważne, żeby to wzajemne zainteresowanie wzbudzić zaraz po powrocie z wypoczynku, gdy wszyscy mają dla siebie więcej życzliwości i gdy trochę stęsknieni do siebie są lepsi, cierpliwsi, bardziej ustępliwi i wyrozumiali. Właśnie w tym czasie łatwiej można wyrównać rażące „nowości" w usposobieniu czy zachowaniu się dzieci, jeśli tylko znajdzie się czas na współżycie rodziny... Wspólne rozmowy, wzajemne zaciekawienie swymi sprawami daje w wyniku świadomość, że nasze wspólne mieszkanie, do którego przywykło się w sposób automatyczny, jest naprawdę naszym wspólnym domem: naszym i naszych dzieci".

„Obiad powinno się jadać razem. Odchylenia od tej zasady dopuszczalne są wówczas, gdy małe dzieci mające własną organizację dnia zjadają posiłek południowy bardzo wcześnie, lub wówczas gdy czyjeś zajęcia zawodowe albo szkolne kończą się tak późno, że nie pozwalają zdążyć na żadną „porę obiadową", nawet na godzinę 16-tą. Zasadniczo wspólny obiad odgrywa w normalnej rodzinie dużą rolę: jest momentem jak gdyby raportu, a zarazem momentem współżycia towarzyskiego. W czasie obiadu dowiadujemy się o nowinach zawodowych, szkolnych, a często także społecznych i politycznych. W czasie obiadu wypowiadamy opinie o postępowaniu jednostek czy grup społecznych, wyrażamy przekonania o tym, co dobre i złe, co należy a czego nie należy robić; często mówimy o jakimś prądzie umysłowym, czy o problemie wysuniętym przez autora w czytanej książce. Mówić zaś o tym należy zupełnie swobodnie, bez gniewu i pouczeń, spokojnie. I właśnie swoboda i spokój takich rozmów, ich beztendencyjność (czasem pozorna) mają wielkie znaczenie wychowawcze. Przez swoją treść i formę, jak i przez to samo, że są, że rozbrzmiewają w naszym domu — zwolna pogłębiają w nas wszystkich umiejętność rozmawiania i dyskutowania. Wydaje się to szczególnie ważne w epoce braku zainteresowań umysłowych i artystycznych, w epoce filmu i bridża".

Jeżeli pragniemy dobrze zorganizować pracę wszystkim domownikom, musimy nawet w najskromniejszych warunkach mieszkaniowych, każdemu przydzielić odpowiednie miejsce do pracy domowej lub zabawy.

„Gdy dzieci rosną — zmieniają się ich zajęcia i potrzeby; urządzenie mieszkania nie może również pozostać bez zmiany. Z biegiem lat wypadnie wstawić gdzieś półkę na książki, stolik do pracy itp., aby zdobyć jeszcze jeden „kąt własny" dla człowieka, który potrzebuje już innych warunków, niż dotąd. Musimy corocznie kontrolować rozkład miejsca i umeblowania naszego domu i przeprowadzać takie zmiany, by każdy miał zapewnione miejsce na swoje rzeczy i spokojny kąt do pracy. Każdy: dorosły, dorastający i dziecko!

Częste skargi na to, że dorastające dzieci żyją poza rodziną, wracając do domu tylko na jedzenie i spanie, że dom staje się dla nich hotelem i restauracją a niczym więcej — poza przyczynami ważniejszymi, związanymi z rozwojem psychicznym młodzieży — mają swoje źródło także w tym, że tej dorastającej młodzieży jest w domu bardzo niewygodnie. Nie chcąc przechodzić „z kąta w kąt", zaczyna pracować poza domem, w bibliotece, w pracowni swojej uczelni, a dom przestaje uważać za miejsce, w którym można spokojnie studiować".

Dom rodzinny nie może być tylko miejscem czasowego pobytu domowników. Każdy członek rodziny musi czuć się w promieniach ciepła tego ogniska, które płonie dzięki niespożytej energii kochającego serca dobrej matki i rozumnej pani domu.

LEKTURA DLA RODZICÓW.

Prof. Stefan Baley: Psychologia wychowawcza w zarysie. Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa.

Lektura dla rodziców? Poważna praca naukowa, podręcznik uniwersytecki, gruby tom, liczący 675 stronic? Nie wszyscy rodzice będą mieli czas, cierpliwość, dostateczne zainteresowanie, aby studiować tak obszerną pracę naukową. Niech jednak, z drugiej strony, jej naukowość nie odstrasza chętnych, którzy będą się obawiali, że nie wszystko będzie dla nich dostępne. Zapewne inną z niej korzyść wyniesie specjalista, pedagog, psycholog, dla którego będzie ona drogowskazem w studiach, inną — laik, interesujący się sprawami wychowania. Ale książka pisana tak jasno, tak przejrzyście, z taką prostotą, że będzie zrozumiała i dla niespecjalisty.

Ktokolwiek z rodziców poważnie traktuje swoją rolę wychowawcy, jak również swoją pracę społeczną w zakresie współdziałania domu i szkoły, szczególniej gdy idzie o samokształcenie rodzicielskie, powinien bezwzględnie zapoznać się z tym dziełem.

Nie znajdzie tam wprawdzie wskazań bezpośrednich, poleceń co i jak czynić, a czego unikać, bo jak to prof. Baley zaznacza na wstępie, psychologia wychowawcza nie ma za zadanie stawiania norm wychowawczych, a tylko analizę fenomenów wychowawczych.

„Nie znaczy to jednak wcale, jakoby pedagog i teraz już nie mógł studiować z pożytkiem dotychczasowego skromnego dorobku psychologii wychowawczej", dodaje ze skromnością uczonego prof. Baley. Dorobek ten laikowi wyda się ogromny, a normy i wskazania łatwiej już jest wysnuć, jak również zrozumieć znaczenie norm już znanych, kiedy się lepiej pozna naturę i przebieg pewnych zjawisk .

Dla rodziców ważne jest już samo poznanie podstawowych pojęć, dotyczących psychologii materiałów i produktów wychowania oraz ogólnych form procesów wychowawczych. Zapoznają się tu w sposób wyczerpujący, na czym polega proces uczenia się, w jakich warunkach przebiega najkorzystniej, zapoznają się z zagadnieniami wychowania instynktów, woli, charaketru, z przebiegiem procesów wychowania przez drugich, i wreszcie z zagadnieniami procesu samowychowania.

Znajdą tu również rodzice analizę rodziny i szkoły jako instytucyj wychowawczych.

Szczególniej ta ostatnia część dzieła prof. Baley'a, poświęcona szkole, pomóc może rodzicom, którzy z nią współpracują w uświadomieniu sobie, na czym polega wysiłek nauczyciela i jakie są liczne i różnorodne trudności, z którymi się spotyka.

Ktokolwiek z rodziców zdobędzie się na przestudiowanie tej pracy, uzyska wgląd w ogrom wysiłków, jaki już w analizie procesów wychowawczych został dokonany oraz solidne podstawy do dalszego prowadzenia pracy, zmierzającej do tego, aby coraz mniej było u nas rodziców, zasługujących na nazwę „analfabetów" w sprawach wychowania. Zdobycie takich podstaw wyjdzie szczególniej na korzyść tym spośród rodziców, którzy stoją na czele grup i organizacyj, współpracujących ze szkołą w dziedzinie wychowawczej.

Joanna Kunicka: Kłamstwo dziecięce. Przyczyny i zapobieganie. Biblioteka Popularno - Naukowa Instytutu Higieny Psychicznej. Skład główny „Nasza Księgarnia", Ś-to Krzyska 18, Warszawa.

Jest to jedna z niewielkich książeczek Instytutu, mających na celu dać rodzicom i wychowawcom pewien całokształt najważniejszych zagadnień wychowawczych.

Ważna sprawa kłamstwa dziecięcego, tak wiele nastręczająca nieraz kłopotu i trudności, omówiona jest tu w sposób jasny, wyczerpujący, a przy tym niezwykle żywy i interesujący.

Analiza kłamstwa dziecięcego przeprowadzona jest tak jasno, tak przystępnie, poparta tak licznymi przykładami z życia, że każdy z rodziców z jej przeczytania osiągnie korzyść bezpośrednią, praktyczną zarówno w zrozumieniu psychiki dziecka, jak

i w uświadomieniu sobie, jak postępować w różnych poszczególnych sytuacjach, kiedy dziecko rozmija się z prawdą, i jakich błędów, niestety tak bardzo rozpowszechnionych w tej dziedzinie, unikać należy.

Zrozumienie na przykład jak szkodliwe jest karcenie, a nawet karanie dzieci małych za kłamstwo pozorne, i jak ten rodzaj kłamstwa rozpoznawać, i co czynić należy, aby dziecko zachęcić do ścisłości w wypowiedziach, do rozróżniania zmyśleń i fantazyj od prawdy.

W analizie kłamstwa rozmyślnego dzieci w wieku przedszkolnym zapoznają się rodzice z przyczynami, które dziecko skłaniają do nieprawdy i przekonają się, ile tu winy za tego rodzaju wykroczenia spada na błędne postępowanie samych rodziców czy wychowawców.

Omówione są dalej najczęstsze powody kłamstwa w wieku szkolnym, poczynając od tych, których rodzice sami „uczą" dzieci... Należą tu kłamstwa konieczne, popełniane dla korzyści materialnej (u dzieci rodzin, korzystających z różnych form pomocy społecznej), kłamstwa konwencjonalne (kto ich nie ma na sumieniu?) i wreszcie kłamstwa, wynikające z różnicy światopoglądów szkoły i rodziców lub dalszego otoczenia dziecka.

Kłamstwo egoistyczne dziecka, będące wynikiem obawy kary, znajduje tu bardzo ciekawą analizę, obok wskazań jak dziecko od niego ustrzec. Co do kłamstwa, spowodowanego chęcią uwolnienia się od obowiązków, wskazania autorki przydać się mogłyby nie tylko rodzicom, ale i nauczycielstwu. Do typów kłamstwa, praktykowanego w wieku szkolnym, zalicza autorka kłamstwo z powodu nadmiernego skrępowania dziecka oraz kłamstwa dla zaimponowania innym, jakże częste, a jakież nieraz tragiczne.

Bardzo ciekawie oświetla autorka kłamstwa świadomie krzywdzące innych, a będące wynikiem niedorozwoju, stłumienia uczuć społecznych przez wychowanie, a nieraz uczuciem rozgoryczeniem „na cały świat" u dziecka, które się czuje szczególnie niezrozumiane i pokrzywdzone.

Interesujący jest rozdział poświęcony kłamstwu altruistycznemu, z którego — mówi autorka — wiele „da się uniknąć, po prostu ich nie prowokując". Dotyczy to w szczególności śledztw i dochodzeń szkolnych.

Omówione jest również kłamstwo u młodzieży dojrzewającej wraz ze wskazaniami wychowawczymi dla tego wieku.

Ostatni rozdział tej niezmiernie interesującej książeczki dotyczy kłamstwa chorobliwego. „Gdy mamy najlżejsze choćby podejrzenie — mówi autorka — że kłamstwo dziecka jest pochodzenia chorobliwego, należy się zwrócić o pomoc do lekarza specjalisty. Wszelkie, najbardziej nawet skuteczne środki pedagogiczne, stosowane do dzieci normalnych, mogą się wobec takiego dziecka okazać zawodne".

Książeczka ta napisana nie tylko z dużą wiedzą psychologiczną i pedagogiczną, ale i z sercem, z prawdziwym zrozumieniem potrzeb i bolączek dziecka, może stanowić bardzo ciekawy materiał do dyskusyj w Kołach Rodzicielskich i Patronatach.

J. B.

Z PRASY POLSKIEJ.

Prasa w obronie współpracy domu i szkoły.

Głośny artykuł p. Chirowskiego, ogłoszony w „Przeglądzie Pedagogicznym" Nr 17 — 18, wywołał głośne echo w całej prasie naszej. Znak to najlepszy, jak żywotne i doniosłe jest zagadnienie współpracy domu i szkoły, że mimo powagi „chwili osobliwej" jaką przeżywaliśmy, mimo światowej wagi wydarzeń, rozgrywających się w tym okresie, tak powszechną uwagę ogółu zwróciła napaść na ruch, który przywykliśmy już uważać za konieczny do realizowania, za zgodny z duchem całej naszej polskiej myśli wychowawczej.

Zanim omówimy głosy prasy codziennej w tej kwestii, rozpatrzymy przede wszystkim repliki, które się pojawiły na łamach „Przeglądu Pedagogicznego".

W Nr 19 (z 15 września), zabrali głos nauczyciel i przedstawiciel rodziców.

Czy naprawdę „trzeba powitać z radością"?

Przedstawiciel nauczycielstwa, p. dr. Juliusz Nowak-Dłużewski stwierdza (słusznie!), nagminność plagi „znachorstwa pedagogicznego", dowodząc, że ten objaw charakteryzuje pewne zanarchizowanie społeczeństwa, zburzenie hierarchii sądów, zasługuje na to, aby nauczycielstwo, „w interesie samej szkoły oraz w interesie własnego prestiżu i spokoju", podjęło przeciwko niemu umiejętną kontrofensywę. I dlatego, twierdzi autor, artykuł p. Chirowskiego „trzeba powitać z radością" (?).

Autor jednak, choć nie czuje się w prawie kwestionowania „prawdziwości i rzeczowości negatywnych uogólnień, do których p. Chirowski dochodzi na temat kontaktu domu ze szkołą", uznaje, że trzeba wyodrębnić te, które mają „charakter przypadkowy, zależny od specyficznych warunków pewnych, nielicznych może w Polsce środowisk rodzicielskich, oraz te, które posiadają znaczenie ogólniejsze". Autor nie uważa opisanych objawów za nagminne. „Można je skutecznie i łatwo zwalczać, nawet przy pomocy rodziców".

Za to autor przyznaje, że „patronaty"... „są zarażone psychozą niekompetencji" i uważa za konieczne „zwalczanie tej szkodliwej, a głęboko zakorzenionej psychozy".

Autor stwierdza, że artykuł, p. Chirowskiego, choć „nie jest usprawiedliwiony" w swej formie, „pisany jest krwią serdeczną człowieka, dojętego do żywa, zamęczonego nader ciężkimi od lat szeregu warunkami pracy nauczycielskiej, moralnymi i materialnymi". Tak to łagodnie, oględnie, niby to chwaląc, kolega po fachu potępia przecież wystąpienie przeciwko współpracy domu ze szkołą.

Polska nie kończy się na Przemyślu.

O ile temu głosowi brak jakichkolwiek konstruktywnych wniosków, o tyle pełen mocnych, pozytywnych akcentów jest głos przedstawiciela rodziców p. Jabłońskiego, Prezesa Patronatu IV Gimnazjum Państwowego im. Adama Mickiewicza.

Stwierdza on, że współpraca domu i szkoły była czymś, o czym „przed wojną nie można było nawet i marzyć".

Z artykułu p. Chirowskiego można by wnosić, że „współpraca ze szkołą jest fikcją", „że tak jest wszędzie", a tymczasem może istotnie tylko na terenie przemyskim panują „prowokacje, groźby, szantaże...".

„Polska, Bogu dziękować, nie zaczyna się i nie kończy w Przemyślu".

„Setki szkół prowadzą prace patronackie ku pełnej i wzajemnej satysfakcji domu i szkoły".

„Jest publiczną tajemnicą, że żadna ze szkół państwowych nie otrzymuje pełnego budżetu i cała masa świadczeń na rzecz szkoły przerzucana jest na organizacje rodzicielskie, które p o n o s z ą c h ę t n i e i z e z r o z u m i e n i e m".

Autor stwierdza, że „artykuł p. Chirowskiego wywoła na pewno duży sprzeciw i szeroką dyskusję, ale niech ci rodzice, którzy pracują dobrze, „nie zrażają się formą" jego, „niech zacisną ręce i wezmą się tak do pracy, by w przyszłości „Przegląd Pedagogiczny" był wolny od artykułów, które ujmując stan rzeczy w jednym ośrodku szkolnym, uogólniają zarzuty na całą Polskę".

Głos Dyrektora Szkoły.

W następnym numerze „Przeglądu Pedagogicznego", pojawiły się dwa dalsze artykuły w dyskusji o współpracy domu i szkoły.

Pan Dr. M. Dadlez, Dyrektor Gimnazjum Państwowego im. Adama Mickiewicza, dorzuca w kwestii współpracy rodziców ze szkołą wiele rzeczowych i interesujących uwag.

Stwierdza on, że „wszystkie niemal przejawy wrogiego, czy niechętnego ustosunkowania się rodziców do szkoły, o których autor wspomina, mogą się na danym terenie zarysować n i e z a l e ż n i e od tego, czy w tym środowisku istnieje zorganizowane koło rodzicielskie lub patronat”.

„Nawet częściej spotyka się z zarzutami ze strony rodziców niezorganizowanych, którzy życia szkoły nie znają, zdala od niej stoją i troszczą się jedynie o promocję s w e g o dziecka. Dobro rodziny szkolnej nie obchodzi ich”.

I dalej znowu dodaje: „twierdzę na podstawie własnych spostrzeżeń, że najbardziej aktywni są rodzice tych dzieci, z którymi szkoła nie ma kłopotu, które się dobrze uczą i sprawują; grożą zaś, anonimy piszą i z pretensjami występują właśnie rodzice niezrzeszeni: ci sami, którzy nie dbają o należyte organizowanie pracy domowej ucznia, którzy usprawiedliwiają stale złe sprawowanie się dzieci, walczą o każdą „ocenę”, obwiniają i obniżają autorytet szkoły itp. Ci sami także, którzy nie lubią... płacić składek”.

Te słowa zasługują na jak najbaczniejsze rozważenie. Słusznie też stwierdza autor, że „wydobywanie samych plam i jaskrawe ich naświetlanie — nie oczyści atmosfery, w której dom m u s i się ze szkołą zetknąć. Przecież sprawy szkolne i domowe muszą się krzyżować, brama szkoły otwiera się na pukanie „domu” i jedno bez drugiego poprostu istnieć nie może”.

Rodzice i szkoła.

Wyczerpującą replikę p. Chirowskiemu daje na łamach „Przeglądu Pedagogicznego” z dnia 1 paździer. r. b. p. Rendznerowa, redaktorka „Rodziny i Dziecka”.

Stwierdza ona na wstępie, że „na współczucie zasługuje nauczyciel, który zetknął się z tak okropnymi rodzicami... że to aż podważyło jego spokój wewnętrzny, przepoiło żółcią i nienawiścią do ogółu rodzicielskiego...”.

Autorka wprawdzie przyznaje, że błędy, które p. Chirowski zarzuca rodzicom, jak: „interesowność, nieuzasadnione pretensje do nauczyciela o niesprawiedliwość... a nawet buntowanie własnych dzieci przeciwko przepisom szkoły, trafiają się często...” ale... „generalizować złego nie wolno. W imię wiary w człowieka i jego godność, w imię wiary w dom rodzicielski, który zdał już egzamin wobec historii, w rodzinę polską i w jej potencjał siły moralnej”.

„Chwasty w społeczeństwie... krzewią się nie tylko wśród rodziców. W szkole wszakże mają miejsce i takie fakty jak bicie dzieci, wymyślanie ordynarnymi wyrazami... itd., ale rodzice nigdy nie posunęli się tak daleko, aby te fakty generalizować i stąd ubliżać nauczycielowi w ogóle”.

Autorka stwierdza, że p. Chirowski, zamiast ugodzić w niektóre przejawy współpracy domu ze szkołą — „ugodził w jej treść zasadniczą, zdradzając chęć „p r z e p ę d z e n i a” rodziców ze szkoły. Choćby ich jednak przepędzono, zostaną w szkole poprzez wpływ, jaki wywierają na dziecko”.

„Czy nauczyciel wychowa dziecko, które będzie podlegało nieznanym wpływom domu”? I gdzież ta możliwość wyłączenia rodziców, skoro ich nauczyciel wzywa na pomoc, kiedy już sam sobie nie umie poradzić z uczniem?

Współpraca domu i szkoły doskonała nie jest, „bo niedoskonały jest człowiek, bo niedoskonali są i nauczyciele i rodzice”. I dlatego, że ma braki poważne i liczne, trzeba dążyć do poprawy, ale przy wysiłku z o b u s t r o n. Autorka stwierdza, że p. Chirowski splątał dwie sprawy: karygodne postępowanie jednostek rodzicielskich (szukanie wpływów, groźby, anonimy itd.), i zagadnienie wychowawcze współpracy domu i szkoły.

Za jednym zamachem rozwiązuje „tak skomplikowane pytania, jak: co dom daje szkole? Co szkoła daje domowi? Czy dom przeszkadza szkole?” Autorka stwierdza, że „jakkolwiek rzeczywiście szkoła nie jest po to, żeby ustępować domowi, to i dom nie jest po to, żeby ustępował szkole. Dom i szkoła ścierać się muszą, ale

tylko w tym celu, żeby wychowanie dziecka stało się lepsze, wszechstronniejsze. Ostrożnie z walką, aby pomiędzy mieczami nie ginęło dziecko".

Wbrew przekonaniom p. Chirowskiego, autorka stwierdza, że szkoła ma obowiązek kształcenia rodziców, że „kształcenie rodziców jest zabiegiem profilaktycznym w wychowaniu młodego pokolenia". Bo przecież „natura obdarza dziećmi i tych, którzy żadnej szkoły wychowawczej nie przeszli".

„Jeżeli wśród rodziców mało jest kompetentnych wychowawców, nie przybędzie ich wtedy, gdy szkoła będzie dążyła do odepchnięcia ich od siebie".

Na twierdzenie p. Chirowskiego, że „butwiejące od zarania patronaty" to domena szkodnictwa rodziców i rozluźniania karności w szkole", autorka wzywa: „proszę odwiedzić nie jedną, ale setki szkół w Polsce, gdzie funkcjonują dobrze zorganizowane te „szkodnicze patronaty"... gdzie „wątłe, niemłode kobiety dźwigają" po piętrach „olbrzymie wiadra, kawy czy mleka", „z odciskami na palcach krają stosy chleba dla dzieci „cudzych", biegają po domach, żeby zdobyć wyrośnięty płaszcz, czy buciki — „nie dla s w o j e g o dziecka"!

Autorka stwierdza, że „właśnie przez zorganizowaną pracę w patronacie ustępuje prywata", że „rodzice dobrze zorientowani w życiu szkolnym potrafią nastawić dziecko", żeby zrozumiało celowość zarządzeń szkolnych.

I „chociaż rodzice zorganizowani we współpracy ze szkołą, „to przejaw kultu niekompotencji", to jednak szkoła nieźle z ich pracy korzysta".

Zarzut „żebraniny" odpiera autorka z mocą, mówiąc, że to przecież „rodzice dają własne pieniądze rodzicom" i że szkoła sama „wymaga od rodziców pieniędzy na ławki... itp. ale rodzice tego żebraniną nie nazywają, ujawniając w ten sposób — wbrew zdaniu autora — duże wyrobienie społeczne".

Co do „popierania szkoły bez reszty", to autorka oświadcza, że rodzice stoją na innym stanowisku, „chcą popierać szkołę, ale jedynie szkołę, którą uznają za dobrą". „Bo przecież rodzice są przedstawicielami społeczeństwa", a zagadnienie wychowania szkolnego wymaga również wielkiej czujności ze strony społeczeństwa, właśnie dlatego, że interes Państwa jest w tym zaangażowany.

Szukamy we wszystkich przejawach życia pomostów, jednoczących społeczeństwo. „Współpraca domu i szkoły dobrze pojęta, dobrze realizowana jest nieodzownym czynnikiem tworzenia, a co ważniejsze — realizowania tego ideału".

Tylko, stwierdza autorka, trudno jest wymagać od nauczyciela w jego obecnych ciężkich warunkach i przepracowaniu, „jeszcze nowej inicjatywy i nowej odpowiedzialności".

„I właśnie rodzice zorganizowani, rozumiejący szkołę i jej warunki, powinni domagać się od opinii publicznej wpływu na daleko idące zmiany w poprawie bytu nauczycielstwa w jak najszerszym znaczeniu tego słowa".

Odgłosy prasy codziennej w dyskusji o współpracę domu i szkoły.

Dyskusja wzniecona napastliwym artykułem p. Chirowskiego odezwała się szerokim echem w całej naszej prasie codziennej, mimo tylu zagadnień wyższego rzędu, które zaprzątały uwagę świata i naszego społeczeństwa w miesiącu ubiegłym.

W „Kurierze Porannym" z dn. 5 września p. Ya mocnymi słowy potępia „zmory" szkoły zaborczej, „które jeszcze straszą". Taką szkołę, jakiej się domaga p. Chirowski, szkołę, która ma być „czynnikiem oficjalnym", przeżyliśmy w okresie zaborów. Czyżby autor napaści na współpracę domu i szkoły, chciał „jak chciano w Sowietach — odebrać dzieci rodzicom"?

„Kurier Polski" z września, zamieszcza artykuł, zwalczający „bezprzykładną napaść na współpracę domu ze szkołą". Autor artykułu p. „ha. jot" słusznie zaznacza, że „szkoła nie jest instytucją zawieszoną w powietrzu", że „podstawy swego

istnienia, podstawy, nade wszystko tego ładu etycznego, na którym się opiera, czerpie ze społeczeństwa, z jego poczucia narodowego, religijnego, moralnego".

Artykuł stwierdza, że poglądy p. Chirowskiego na wychowanie „w niczym nie odbiegają od metod, stosowanych w państwach totalnych. Zarówno naszych sąsiadów z zachodu, jak i ze wschodu".

Czyżby p. Chirowski nie wiedział, pyta autor artykułu, „że właśnie w Rosji sowieckiej hołduje się zasadzie wychowania publicznego, o f i c j a l n e g o, i że węzły rodzinne są raczej w rozprzężeniu?"

W „Kurierze Warszawskim" z dn. 21.IX. p. Józef Janota Bzowski w artykule pełnym powagi i umiaru obala argumentację p. Chirowskiego, choć dodaje, że ujęcie przez niego zagadnienia „trudno nawet przyjąć za podstawę do głębszej, merytorycznej dyskusji".

Autor bardzo trafnie podkreśla, „nie licujący z powołaniem wychowawcy pesymizm", jaki przenika napastliwy ten artykuł, zarzucając mu ponadto „wysoki subiektywizm i brak bezstronności".

P. Bzowski słusznie podkreśla, że autor miesza w swym artykule dwa pojęcia różne, „zbiorowości rodzicielskiej, jako luźnych jednostek oraz organizacji rodzicielskich", które właśnie „mają za zadanie korygować i regulować postępowanie luźnych zbiorowości, czy jednostek".

P. Bzowski podkreśla, że nie można „przypisywać całej mądrości, wszystkich cnót, praw, przywilejów, głosu i nieomylności tylko szkole, i z niej czynić panaceum wychowawczego, a lekceważyć tych, w których ręce Bóg przede wszystkim złożył prawo do wychowywania dzieci".

P. Bzowski słusznie podkreśla, że jest rzeczą szkodliwą i bezcelową „podważanie podstaw przyjętej już dziś jednomyślnie w całym świecie pedagogicznym... bezspornej zasady, że bez współpracy domu i szkoły nie ma wychowania". Trzeba się zastanowić nad tym: „jak współpracować..." ale nie: „czy współpracować?"

„Ilustrowany Kurier Codzienny" z dn. 10.IX. stwierdza, polemizując również z p. Chirowskim, że „Współpraca domu i szkoły jest koniecznością", taki tytuł nadając artykułowi w tym przedmiocie. Artykuł oświadcza, że: „Obarczając odpowiedzialnością patronaty za publiczną krytykę szkoły", p. Chirowski występuje „p r z e c i w k o p o z a u r z ę d o w e j k o n t r o l i s z k o l n i c t w a. Nie liczy się z tym, że kontrola ta istniała i przed powstaniem patronatów, i istnieć będzie, choćby patronaty zniesiono".

W obronie współpracy domu i szkoły staje również i „Dziennik Ludowy", w artykule z dn. 22.IX. b. r. stwierdzając, że jest ona „gwarancją dobrego wychowania i należytego przygotowania dzieci do życia społecznego wartościowego i pożytecznego".

Ten przegląd, obejmujący prasę polską wszelkich odcieni i kierunków, jest najwymowniejszym przykładem, jak silnie opinia całego społeczeństwa wypowiada się za współpracą domu i szkoły, jak rozumie jej potrzebę i żywotność.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Higiena psychiczna w szkole powszechnej.

Schweizer Erziehungs Rundschau w Nr. 6 (sierpień r. b.) omawia artykuł Dra H. Zulligera, ogłoszony w szwajcarskim organie Zdrowia i Opieki Społecznej. W artykule swym omawia on zasadnicze wskazania higieny psychicznej, o których powinna pamiętać szkoła, która chce wychować psychicznie zdrowe młode pokolenie.

Pierwszym z tych wskazań jest to, aby dziecko przychodzące do szkoły zżyło się z klasą. Nad tym powinien czuwać nauczyciel. Gdy dziecko czuje się obco wśród kolegów, wyrasta na człowieka wiecznie nieszczęśliwego, przeczulonego lub zgryźliwego, obarczonego lękiem wobec życia, za którym wlecze się cały teren wrogich życiu skłonności i nastawień.

Zżycie się jednak klasy nie jest standaryzacją, zniwelizowaniem jednostki na rzecz zbiorowości, a przeciwnie, jest dobrowolnym współdziałaniem na rzecz całości.

Dr. Zulliger zaznacza, że cały nasz ustrój szkolny wciąż jeszcze zanadto jest nastawiony na wzajemną rywalizację dzieci między sobą, wytwarzającą potrzebę przewyższania innych. Dopóki klasówki i stopnie tak wielką grają rolę w życiu szkoły, nie może być osiągnięte poczucie współodpowiedzialności w stosunku do kolegów. W interesie utrzymania zdrowia psychicznego dziecka, w interesie prawdziwej wspólnoty powinny znajdować coraz szersze zastosowanie nowe formy nauczania, jak np. prace grupowe.

Ze zżyciem się jednak dzieci w obrębie jednej klasy szkolnej nie powinno się kończyć wychowanie ku wspólnocie. Powinno ono sięgać poza ramy jednej klasy, ogarniać wszystkie dzieci, całej szkoły. Należy przełamać rywalizacje i wrogości między klasami. Okazję daje np. organizowanie świąt szkolnych, choć i one mogą się stać okazją do niepotrzebnych, małostkowych rywalizacyj.

Najwyższym nakazem wychowania jest wychowanie ku wspólnocie. Jest to zadanie trudniejsze, niż opracowanie programowego materiału nauczania. Zulliger stwierdza, że w pracy tej osobowość nauczyciela jest czynnikiem najważniejszym. Dziecko powinno kochać nauczyciela, bo ku miłości ideału wychować można jedynie po przez osobiste umiłowanie jednostek, które stają się wyrazicielami tego ideału. Miłość do nauczyciela powinna jednoczyć całą klasę. Gdy są grupki faworytów lub wielbicieli, wytwarzają się tarcia i rywalizacje. Stosunek nauczyciela do klasy powinien być stosunkiem przywódcy do grupy. Wyklucza to zazdrość, stwarza poczucie braterstwa, przyjaznej gotowości do wzajemnego niesienia sobie pomocy.

Miłość dziecka zdobywa nauczyciel tylko przez dobroć. Prawdziwa jednak dobroć nie wyklucza powagi i pewnej surowości.

Dobroć nauczyciela to atmosfera, w której może się kształtować moralna wspólnota klasy. Ona rozprasza „cienie szkoły". W takiej atmosferze, gdzie solidarność, gotowość do pomagania sobie nawzajem stała się faktem, jest też i większa chęć do nauki. Ta chęć jest podstawą dyscypliny, gdy istnieje, zmniejsza się liczba wykroczeń szkolnych.

Klasa, która nienawidzi nauczyciela, nie może stanowić prawdziwej wspólnoty. Jej cel jest nienormalny. Łączy ją uczucie negatywne. Nienawiść klasy może nauczyciel wzbudzić przez faworyzowanie poszczególnych uczniów, przez zrzędność, zgryźliwość, ironizowanie i poniżanie , przez pedanterię, obcość życiu lub nierzeczowość.

Dlatego też, pisze Dr. Zulliger, „zdrowie psychiczne nauczyciela jest podstawowym czynnikiem higieny psychicznej uczniów".

Rodzice czy koledzy?

Na ten temat, tak aktualny urządziło ankietę czasopismo kobiece francuskie „Journal de la Femme". Zabrali w niej głos ludzie wybitni, znani w różnych dziedzinach życia kulturalnego Francji, sami będący młodymi rodzicami nowoczesnego pokolenia:

Denys Amiel ,znany i u nas dramaturg pisze: „Pewnego dnia, gdy moja mała była w stosunku do mnie zbyt swobodna, powiedziałem jej najsurowiej jak umiałem: „Czy nie zechcesz mnie wreszcie szanować?" A na to usłyszałem najszczerszą odpowiedź: „Ależ, Tatusiu, gdybym cię szanowała, nie mogłabym cię kochać". Lekcja ta wystarczyła mi na całe życie. Wybrałem miłość dziecka przed lękliwym szacunkiem i doprawdy byłem i jestem najszczęśliwszym ojcem pod słońcem".

W tym samym duchu przemawia znana autorka Marcelle Géniat: „Nie wiem, czy koleżeństwo dzieci i rodziców jest pożądane, ale wiem że w dzisiejszych czasach jest

ono nieuniknione i dodaje: byłam zawsze najserdeczniejszą przyjaciółką mojej córki i mogę sobie tylko tego powinszować. O złych skutkach tej metody nigdy się nie przekonałam. Gdybym nie wytworzyła między sobą a dzieckiem miłości i zaufania, straciłabym duszę mojej córki. To też Gilberta do dziś zwierza mi się ze wszystkim. Ileż to dawniej bywało dramatów, samobójstw, ucieczek z domu, spowodowanych nieubłaganą surowością rodziców. Dziecko musi znaleźć w ojcu i matce opiekę, zrozumienie, przyjaźń — miłość w najszerszym tego słowa znaczeniu".

Głosy, chwalące koleżeństwo, są głosami tych spośród piszących, którzy dochowali się już dorosłych córek.

Inaczej w tej sprawie wypowiadają się ci, którzy mają dzieci młodsze.

Marcelle Tinayre mówi: „Wychowuję swego syna w atmosferze miłości, ale trochę „po staroświecku" (jak się teraz uważa), uczę go szanować i kochać rodziców. Szlachetne i trafnie pojęte koleżeństwo możliwe jest tylko w stosunku do starszych dzieci. Ja sama stałam się przyjaciółką — i powiedzmy — koleżanką mojej matki dopiero od zamążpójścia".

Podobnie pisze i znana powieściopisarka Irène Niemirowsky: „Moja starsza córeczka ma dopiero osiem lat. Koleżeństwo z dzieckiem jest bardzo miłe, ale czy jest dla mnie zawsze możliwe teraz, gdy często muszę zwracać uwagę małej, że się źle zachowuje"... „Ostatecznie, w dzisiejszych czasach szanuje się tak niewiele rzeczy, że nie trzeba już chyba zwalczać odrobiny tego, co zostało: szacunku dla rodziców".

Dlaczego nie lubią odwiedzin rodziców.

„Psycholog", miesięcznik angielski, poświęcony zagadnieniom psychologii praktycznej, podaje ciekawą opinię profesora psychologii Dr. Lairda.

Przekonał się on, że jego studenci bywali zwykle niezadowoleni z zapowiedzianego przyjazdu rodziców do miasta, w którym studiowali. Czyżby się wstydzili, że ci wyglądają ubogo i są źle ubrani? Okazało się, że nie, bo tę samą niechęć do odwiedzin rodzicielskich okazywali i studenci z rodzin zamożnych. Z rozmów ze studentami przekonał się, że nie lubią oni tak częstego u rodziców zwyczaju rządzenia się, dawania odczuć dorosłym dzieciom, że są mniej rozumne i doświadczone, słowem wytwarzania w nich poczucia niższości.

Wśród cech, które według ankiety prof. Lairda najbardziej utrudniają współżycie, większość odpowiadających wymieniała „podkreślanie swej wyższości" i „chęć władania".

MŁODZIEŻ MĘSKA A RYCERSKOŚĆ

Na przystanku tramwajowym każdy się spieszy wsiadać prędko, uczniowie pchają się przed wszystkimi bardzo energicznie i dość bezwzględnie, aby zająć miejsca na pomoście i co lepsze między ławkami. A kto wie, może i siedzące miejsce się trafi? Czasem ktoś po może wsiąść matce z dzieckiem, czasem ktoś podtrzyma biednego starowinkę. Tłum wsiadających na moment jest zażenowany, lecz wnet zaczyna się niecierpliwić, sarkać. Jedni pchają drugich, poszturchują, popędzają. Starzy, słabi i dzieci czują się odpychani i krzywdzeni tym prawem silniejszego i zostają nierzadko przygnieceni (w znaczeniu dosłownym!) tą bujną zdobywczością młodzieży.

W tramwaju tłoczno i duszno, wszyscy są zmęczeni, nieliczni szczęśliwcy, którzy już dawno jadą, mają miejsca siedzące, ale im również ciasno, gdy wiszą nad nimi i pchają się cudze łokcie, kolana, teczki. Ich każdy ruch bacznie obserwują ci „stojący", bo a nuż właśnie ktoś szykuje się do wyjścia! Wte-

dy mnóstwo osób rzuca się by stoczyć wielką batalię, oczy dalej stojących żarłocznie spoglądają na skrawek wolnego miejsca, które zajmuje na ogól ktoś najbardziej „bezwzględny w dążeniach". Krzyżują się spojrzenia zwycięskie i spojrzenia pełne zawiści.

— Proszę, niech pani usiądzie — czyjś nieśmiały głosik i oto panienka w mundurku pociąga ku zwolnionj przez siebie ławce jakąś staruszkę, którą tłum popycha bezlitośnie i która napróżno usiluje zdobyć jakiś stały punkt oparcia. Wzruszonym uśmiechem dziękuje panience i siada z westchnieniem ulgi, że oto nie jest już w mocy tłumu, przerzucana to w przód to w tył, gnieciona i wiecznie zawadzająca o kogoś lub o coś.

Wsiada matka z dzieckiem na ręku, już podnosi się jakaś elegancka panna i ustępuje swoje miejsce. Naprzeciwko rozparty wygodnie uczeń bynajmniej nie jest zmieszany i uśmiechając się ironicznie wygląda oknem.

Choremu robotnikowi ktoś ustąpił miejsce? to uczennica z czerwoną tarczą, ze znaczkiem szkolnym na berecie. Bynajmniej nie uważa, żeby było rzeczą nieodpowiednią ustąpić miejsce mężczyźnie, jeśli jest on słaby i nie ma siły stać. Ale pucołowaty student mówi do siedzącego kolegi: „cóż, że dla kaprysu chciało się ustąpić miejsce to pewno myśli, że ja wstanę? A figę!"

To znów trzęsący się staruszek dziękuje z wdzięcznością za odstąpione miejsce panience i biedak udaje, że nie słyszy ironicznych uwag młodych panów: „Mężczyzna pozwala sobie przyjąć miejsce od kobiety? Co za czasy i gdzież cnoty rycerskości!" Panienka słuchając jest zdziwiona, bo rzeczywiście cóż za czasy, gdzie męska rycerskość, skoro panowie rycerze pozwalają dystansować się w uprzejmości względem starych i słabych — kobietom?

A inny przykład również z obrazków w tramwaju. Na jednym miejscu siedzi ojciec z dziesięcioletnim synem, więc jest im niewygodnie i ciasno. „Tatusiu, tam jest wolne miejsce".

— Co mówisz? Gdzie? Leć prędko, Władziu, i siadaj!" — nakazuje ojciec i Władzio sadowi się z tryumfem tuż przed mizerną, siwą panią, która „nie zdążyła". Ojciec widzi ten wyraz tryumfu i chyba widzi też zawiedzioną panią obok, ale mimo to uśmiech jaki przesyła synowi, jest uśmiechem pełnego porozumienia i uznania dla jego szybkiej orientacji. Trenowany w ten sposób mały Władzio, w przyszłości napewno zdąży na czas zająć wszystkie wolne miejsca i potrafi patrzeć z politowaniem a bez zrozumienia na ludzi uprzejmych i dobrych dla towarzyszy.

Jak reagować na takie zachowanie się chłopców? Bo w pociągu, kinie, na wystawie, wszędzie jest to samo. Dymią w nos papierosem, potrącają, odpowiadają niegrzecznie. Nikt ze starszych nie śmie zrobić uwagi, żeby nie narazić się na ordynarne „co to panią lub pana obchodzi, co komu do tego?"

Władze szkolne nawołują społeczeństwo do opieki nad młodzieżą po za szkołą, ale jak społeczeństwo ma się do tego zabrać, by nie narażać się na przykrości.

Podobno specjalnie niesforne zachowanie się chłopców cechuje młodzież warszawską. Ciekawe jest, o ile jest to prawdą i czemu to właśnie Warszawa z tego słynie?

„Iks".

W Nr. 7 „Rodziny i Dziecka" w dziale „Sprawozdania i recenzje" mylnie wydrukowano imię autorki „Aś idzie", Wiktorii Hesslówny, co niniejszym prostujemy.

Pod hasłem „Szczęśliwe dzieci — mocna Polska" obradował w Warszawie w dniach 2 — 4 b. m. Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka. Udział w obradach wzięło 1.500 członków, którzy zjechali się z całej Polski.

Sprawozdanie z obrad Kongresu zamieścimy w następnym numerze.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: J A N I N A R E N D Z N E R O W A

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH

opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

C e n a n u m e r u p o j e d y ń c z e g o 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA”, Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40